WTOREK
Nr 114 30 IX 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

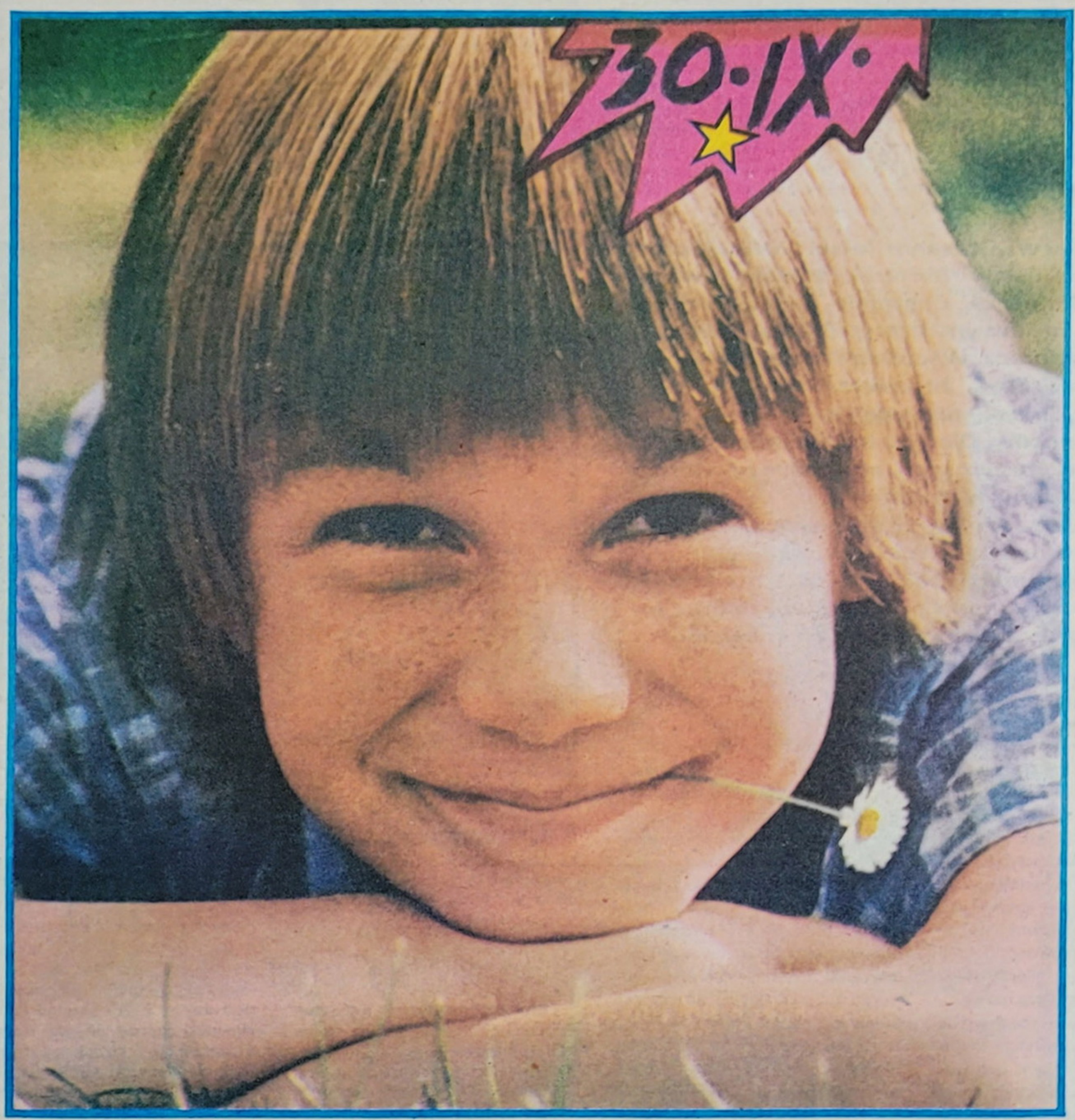

(Inf. własna). Jak donoszą nasi donosiciele, dzisiaj, w ogólnopolskim DNIU CHŁOPAKA w całym kraju od wczesnych godzin rannych przed punktami sprzedaży kwiatów, wiązanek i wieńców ustawiają się długie kolejki dziewcząt, oblężone są również sklepy z upominkami. We wszystkich szkołach, klubach, świetlicach i domach kultury, w drużynach zuchowych i harcerskich, na podwórkach i w mieszkaniach prywatnych dziewczęta spontanicznie składają życzenia swoim kolegom i braciom. Nie namawiane przez nikogo rzucają się im na szyję, wręczają kwiaty. Godna podkreślenia jest atmostera sympatii i wzajemnego zrozumienia, która towarzyszy tym dowodom szacunku i uznania dla roli, jaka pełnia chłopcy w naszym społeczeństwie.

Przyłączamy się więc i my do dziewczęcych życzeń i rzucamy hasło:

Tak jak wiosło bez kajaka,
jest dziewczyna bez chłopaka!

TRWA AKCJA NA „DAR MŁODZIEŻY"

Dziś drukujemy listę kolejnych drużyn, szkół i organizacji szkolnych, które wylosowały pamiątkowe plakietki.

Po wakacyjnej przerwie drukujemy listę drużyn, klas i szkół, które wylosowały ceramiczne plakietki z wizerunkiem „Daru Młodzieży". Zdobywcom gratuluję.

Jednocześnie przypominam, że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu plakietek przez zastępy, szczepy, klasy jest wpłata na konto budowy „Daru Młodzieży", zarobionej własnym wysiłkiem dowolnej kwoty.

Drugim warunkiem udziału w losowaniu jest opisanie sposobu zdobycia gotówki na „Dar Młodzieży". List musi być poświadczony przez osobę dorosłą.

Meldunki z dokładnym adresem zwrotnym przysyłajcie na adres redakcji. Na kopercie piszcie hasło: – Budujemy „Dar Młodzieży".

Szef Klubu
Przyjaciół m/s „Leonid Teliga"

Lista kolejnych zdobywców plakietek

- Harcerze z Hufca ZHP w Moryniu
- Drużyna Harcerska ze Szk. Podst. w Oleśnikach woj. Lublin
- Instruktorzy harcerscy ze Zbiorczej Szkoły Gminnej w Lubochni
- „Krasnale" z Proszowa – za zorganizowanie zuchowej cepeliady
- Zarząd Szkolnego Koła LOK, przy Szkole Podstawowej nr 7 w Kłodzku
- Szczep HSPS przy Liceum Ogólnokształcącym i Liceum Rolniczym w Jedwabnem.

Z minikomputerem w klasie

FRANCUSKIE NASTOLATKI UCZĄ SIĘ PROGRAMOWANIA

FRANCJA (PAP). Kłopoty wynikające z braku programistów spowodowały, że władze francuskie rozwijają obecnie szeroką działalność, której celem jest nauczanie jak największej liczby młodzieży umiejętności pracy z komputerem. Toteż w jednej z firm zamówiono 10 tys. minikomputerów, które... trafią do francuskich szkół. Pierwszych 500 małych maszyn cyfrowych już zainstalowano, a wyposażenie szkół w pozostałe minikomputery potrwa do połowy lat osiemdziesiątych. Dotychczas tylko niewiele placówek oświatowych (liceów i szkół wyższych) może się pochwalić posiadaniem tych urządzeń. **(tok)**

Tomasz Grabowski informuje:

Z AFRYKAŃSKIEGO BUSZU DO KRAKOWA

Ogromne było zdziwienie kieleckiej lekarki pracującej aktualnie w Afryce, gdy okazało się, że dwa maleńkie kociaki przyniesione w koszyku przez wdzięcznego czarnego pacjenta, to prawdziwe dzikie serwale. Małe serwale wraz ze swoją opiekunką przyjechały do Polski, a gdy wyrosły i stały się nieco kłopotliwe w kieleckim mieszkaniu, trafiły do krakowskiego Zoo. Warunki, jakie im stworzono widocznie przypadły serwalom do gustu, bo w niedługim czasie doczekano się od nich potomstwa. W ogrodach zoologicznych serwale rozmnażają się dość rzadko, a w Polsce tylko w Krakowie. Młode urodzone w tym roku, to już piąty z kolei miot.

Fot. A. Turczański

ECHOSONDA... ECHOSONDA...

W „DRUGIM" DOMU NA ALPEJSKIEJ

W numerze 113 ogłosiliśmy echosondę **„Internat drugim domem – jest czy nie jest?"** Pytania dotyczyły atmosfery, warunków bytowych i znajomości Statutu Internatu. Echosonda miała wychwycić najważniejsze problemy, z jakimi się borykacie Wy, mieszkańcy internatów. Zanim napłyną listy z odpowiedziami, zajrzyjmy do jednego z internatów w Warszawie. (str. 3)

Apteka w Zamościu czynna od 350 lat w tym samym miejscu

ZAMOŚĆ (PAP). Od 350 lat w kamienicy nr 2 na Wielkim Rynku w Zamościu czynna jest apteka. Najstarsza to apteka w Polsce i jedyna, jaka nie zmieniła przez tyle lat miejsca. Jednopiętrową kamieniczkę, w której się ona znajduje, wzniósł w 1609 roku szymon Piechowicz z Turobina, aptekarz i profesor medycyny w Akademii Zamojskiej, jej wieloletni rektor. Ostatnio aptekę poddano pracom konserwatorskim. W jej wnętrzu znajdują się m. in. stare, piękne dębowe szafy z końca XIX wieku. Apteka służy ludziom jak dawniej, jest też miejscem, którego nie omija żaden turysta. Bo jest co oglądać! **(kż)**

Pokrzyżacki zamek hotelem

SŁUPSK (PAP). Słupskie Przedsiębiorstwo Turystyczne „Przymorze" przyjmuje już gości w nowym hotelu „Zamek" w Bytowie (woj. słupskie). Placówkę tę przekazano do użytku z półrocznym wyprzedzeniem. Przy hotelu, mającym 60 miejsc noclegowych, znajduje się restauracja. Hotel „Zamek" mieści się w starym zamku pokrzyżackim, należącym do zabytków architektonicznych. Jest to po Malborku najlepiej zachowany obiekt zamkowy. Goście hotelowi mogą zwiedzać znajdujące się w zamku muzeum zachodniokaszubskie oraz skorzystać z księgozbioru biblioteki zamkowej. **(kż)**

WIATRAKI NA BAŁTYKU

SZWECJA (PAP). Rząd szwedzki rozważa możliwość budowy elektrowni wiatrowych na Bałtyku – w południowej części Zatoki Botnickiej. Oblicza się, że w tym rejonie można instalować rocznie 1600–2400 urządzeń tego rodzaju, które dysponując łącznie 36 miliardami kW, pokryłyby 40 procent zapotrzebowania tego kraju na energię elektryczną. Szwedzki Urząd Badań Produkcji Energii stwierdza, że lokalizacja wiatraków energetycznych na pełnym morzu, w odległości około 10 km od brzegu, jest korzystniejsza niż na lądzie. W tej odległości nie są one ani słyszalne, ani widoczne, a budowa na morzu jest tańsza. **(kż)**

MOTOLOTNIA – SPORT CZY CYRK?

USA (PAP). Czego to ludzie nie wymyślają, by zabłysnąć, by zrobić coś, czego inni nie potrafią. Najpierw były karkołomne skoki na motocyklach przez coraz dłuższy szereg beczek. Później pojawił się współczesny Ikar – człowiek szybujący w przestworzach na lotni. Teraz nastąpił z kolei mariaż obu tych, ni to sportów, ni to popisów cyrkowych: motolotnia, czyli człowiek na motocyklu szybujący w przestworzach na lotni. Rekord w tej szczególnej dyscyplinie sportu należy do Amerykanina Kenny Worda. Mając pod sobą seryjną „Hondę", a nad sobą lotnię, przeleciał odległość 85 metrów, poprawiając dotychczasowy rekord o 30 metrów. Start – zgodnie z przepisami – odbywa się z 20-metrowej pochyłni, na której motocykl nabiera prędkości, by później nie wyłączając silnika, wzbić się w przestworza, a następnie lądować i jechać dalej. **(kż)**

Z dokładnością do jednej trylionowej sekundy...

USA (PAP). Waży około 750 kg, nie tyka, nie dzwoni, nie staje. Kosztuje 400 tys. dolarów. Składa się z 50 tys. części, które w ciągu 5 lat składało w całość 14 osób. Jest to najnowszy i najdokładniejszy z serii zegarów atomowych, mierzący czas z dokładnością do jednej trylionowej sekundy. Znajduje się on w Laboratorium Fizyki Stosowanej Uniwersytetu im. Hopkinsa w USA. Zegar ma wielkie znaczenie naukowe, zwłaszcza w badaniu przestrzeni kosmicznej za pomocą bezzałogowych sond. **(kż)**

Iran–Irak

O CO TRWA WOJNA?

Mniej więcej od 12 września trwa zbrojny konflikt między Iranem i Irakiem. I to wzdłuż całej 1200-kilometrowej granicy. Początkowo niewielkie starcia z czasem przerodziły się w prawdziwą wojnę. O co właściwie biją się te dwa kraje?

Bezpośrednim wybuchem konfliktu są spory graniczne, których źródła sięgają lat 1913–19 14. Wówczas to między Irakiem i Iranem zostały wytyczone granice na podstawie tzw. protokołów – konstantynopolitańskiego oraz z posiedzeń komisarzy turecko-perskich. Iran jednak niejednokrotnie zajmował w przeszłości terytoria przygraniczne, należące do Iraku. Kryzys ten osiągnął szczyt za panowania szacha i trwał aż do zawarcia porozumienia między obydwoma krajami. Miało to miejsce w 1975 roku w Algierze. Na mocy porozumień algierskich Irak miał otrzymać zwrot spornych terenów. Niestety, nie doszło do tego, władzę szacha obaliła rewolucja irańska, która nie uznaje zawartych wcześniej porozumień. A w sporze tym chodzi o około 150 km kw. powierzchni w rejonie Zejn Al-Kaus.

Czy tak niewielki obszar może się stać powodem wojny? Otóż, znawcy tego regionu twierdzą, że nie tylko to. W konflikcie iracko-irańskim niebagatelne znaczenie odgrywa czynnik religijny. Ponad 40 procent 12-milionowej ludności Iraku to wyznawcy szyickiej odmiany islamu, która w Iranie jest religią państwową. Natomiast w Iraku przewagę mają sunnici. Wyznawcy tych odłamów islamu, niestety, nie kochają się. Po zwycięstwie rewolucji islamskiej w Iranie, płyną z Teheranu przez radio apele do współwyznawców w Iraku. Apele, to powiedziane zbyt łagodnie, są to po prostu wezwania do buntu, do chwytania za broń, do tworzenia wielkiej armii islamu.

Radio Bagdad nie pozostaje dłużne, Irakczycy z kolei prowadzą akcję propagandową wśród ludności Chuzestanu, prowincji o kluczowym znaczeniu dla Iranu. Tu znajduje się bowiem największe zagłębie naftowe, a ludność zamieszkująca Chuzestan to przeważnie Arabowie, i w dodatku sunnici, czujący się w Iranie dyskryminowani. Co jakiś czas dochodzi tu do sabotażu, zakłócającego wydobycie ropy. Ale jeszcze groźniejsze dla Iranu jest żądanie autonomii dla Chuzestanu, a nawet oderwania się i przyłączenia do Iraku.

Inną przyczyną obecnego stanu jest również problem Kurdów, ludności zamieszkującej północne rejony Iraku i północno-zachodnie Iranu. Co jakiś czas to w jednym, to w drugim kraju dochodzi do rebelii tego bitnego i dumnego narodu. Ale każdy wybuch buntu Kurdów, jeśli nastąpi on np. w Iraku, Teheran uważa, że sprowokował go Bagdad. I odwrotnie. Zresztą te wzajemne oskarżenia nie są bezpodstawne.

Przedstawiliśmy tylko niektóre ważniejsze powody obecnego, największego w nowożytnej historii obydwu krajów konfliktu. Nasilająca się wojna może nieoczekiwanie przybrać rozmiary większego konfliktu światowego. Nie zapominajmy, że trwa ona w najbardziej newralgicznym punkcie globu, w bezpośrednim sąsiedztwie Zatoki Perskiej (Irakczycy określają ją Arabską), przez którą płynie główny strumień ropy naftowej. (b)

X WIEKÓW SANDOMIERZA

„Miejscowość ta jest nadzwyczajnie piękna i przyjemna”

...zapewniał w „Opisaniu Polski” XVI-wieczny dziejopis Stanisław Sarnicki, zafascynowany urodą Sandomierza, dostojnie usadowionego na skarpie, na lewym brzegu Wisły. *„Są tam uprawiane winnice. Wszędzie rozciągają się sady tak, iż sądziłbyś, że zewsząd lasy otaczają miasto. Znajduje się tam wielka ilość najwyborniejszych owoców. Dlatego też Kazimierz Wielki i inni królowie przybywali, aby zażyć powietrza i uciechy. Powaby miejsca zwiększa ogłada obywateli, a także różne przyjemności. Znajdziesz tam bowiem najznakomitszych lekarzy, muzyków, różne gatunki napojów, wesołe duchowieństwo, niewiarygodną obfitość ryb, miodu, łososi, dziczyzny, zboża oraz innych specjałów.”*

Sandomierz, jedno z najstarszych i najważniejszych miast w Polsce, obchodzi w tym roku swój wielki jubileusz – X wieków istnienia. Co prawda najwcześniejsze ślady osadnictwa na tych ziemiach pochodzą sprzed 4 500 lat p.n.e., jednakże za rok narodzin miasta zdecydowano przyjąć schyłek wieku X, kiedy to na dzisiejszym wzgórzu katedralno-gostomiańskim powstał otoczony wałem gród. Założył go prawdopodobnie Sudomir i od jego imienia osada przybrała swą późniejszą nazwę.

Miasto położone rzeczywiście prześlicznie wśród winnic i sadów tętniło bogatym życiem politycznym, kulturalnym i gospodarczym. Tędy wiodły szlaki handlowe na Ruś Halicką i Litwę, stąd żeglowną Wisłą spławiano słynną sandomierską pszenicę. Tutejsi kupcy stawiali śpichlerze, magazyny i składy, by mieć gdzie przechowywać wszelkie dobra, jakie rodziła ta ziemia. Dostatni żywot i wygląd miasta nadwerężały co prawda od czasu do czasu krwawe napady Tatarów i Mongołów, jednakże nie na tyle, aby spowodować całkowity jego upadek. W II połowie XIV wieku miasto zostało otoczone murami, postawiono zamek i kolegiatę, zbudowano rynek i ratusz, rozplanowano zabudowę Starego Miasta. Bogaci mieszczanie nie szczędzili grosza na potrzebne inwestycje: postawiono wiele wspaniałych kamieniczek, zainstalowano wodociągi. W wiekach późniejszych – aż do XVII stulecia Sandomierz przeżywał chwile największego rozkwitu, ba, nawet zaliczano go (tuż po Krakowie) do najpiękniejszych miast w Polsce!

Aż wreszcie przyszły lata chude. Rozbiory i ogólny kryzys gospodarczy wyjątkowo niekorzystnie odbiły się na poziomie życia i wyglądzie samego miasta. Upadek handlu i rzemiosła, walące się domy – oto smutny obraz Sandomierza XVIII i XIX wieku. Całość zniszczeń dopełniły kolejne katastrofy budowlane, spowodowane obsuwaniem się wiślanej skarpy. Wszystko wskazywało na to, że czas dawnej świetności minął już bezpowrotnie...

Najlepiej zachowana w całym Sandomierzu, stojąca przy Rynku kamienica mieszczańska biskupa Zbigniewa Oleśnickiego z XV wieku. Dziś siedziba Muzeum Okręgowego

Sam na sam z „bandytą”

„Bandyta” nazywa się **Krzysztof Podracki,** jest energicznym wysokim brunetem niewiele po trzydziestce i od dwóch lat pełni funkcję... naczelnika miasta. Skąd ów mocny i jak na człowieka piastującego wysokie urzędy niezbyt elegancki przydomek? Być może stąd, że naczelnik tak się przejął tym, co w Sandomierzu zastał i tym, co mu jeszcze do zrobienia pozostało, że odłożył na bok wszelkie konwenanse, byleby tylko „dopiąć swego, dla pożytku publicznego”. Ot, chociażby cement, którego na tej ogromnej, prowadzonej od kilkunastu lat budowie idą straszliwe ilości. Powinno go więc być pod dostatkiem. Powinno, ale nie ma, mimo że cementownia „Nowiny” pod nosem. Więc naczelnik Podracki musi sprawę załatwić inaczej. Szczęście, że człowiek, od którego wydanie cementu zależy ma małe dziecko i na gwałt potrzebuje pralki automatycznej. Naczelnik akurat ma talon na pralkę, więc o cement jest już właściwie spokojny...

Albo weźmy na przykład zamek. Przez 13 lat coś tam niby się robiło, ale taka to była robota, że ciągle końca nie było widać. A to brakło funduszy, a to brakło fachowców... Dopiero półtora roku temu znalazło się jednocześnie i jedno, i drugie. Tempo pracy teraz więc szalone – zamek od świtu do nocy pełen ludzi, pracowników z 36 firm z całego kraju. Ciepłowników z Huty Stalowa Wola, murarzy z tarnobrzeskiego Siarkopolu, najlepszych w Polsce tynkarzy z Radomyśla i młodzieży z miejscowej budowlanki, uczniów z klasy konserwatorskiej liceum plastycznego... Pierwszą część zamku wykończono przed tygodniem, pozostałe prace również zbliżają się ku końcowi. Tutaj znajdzie swoją siedzibę pełnomocnik rządu d/s programu „Wisła”, będą pomieszczenia dla muzeum Wisły, sale koncertowe.

Zakończenie prac konserwatorskich w Sandomierzu przewidziane jest za 5 lat. To niewiele, jeśli zważyć, że jeszcze trochę pozostało do zrobienia. Choć z drugiej strony wystarczająco długo dla tych, którzy by chcieli widzieć to miasto w całej swojej krasie, jak za dawnych, dobrych lat.

Pietruszka czy literatura?

Sandomierski gród w czasach swojej świetności był również liczącym się ośrodkiem życia intelektualnego. Trzy miejscowe szkoły – przy kolegiacie i dwóch kościołach parafialnych oraz bliskość Akademii Krakowskiej, na której w ciągu XVI stulecia studiowała blisko setka sandomierzan – nie pozostawały bez wpływu na miejscowe środowisko. Oto zacni mieszczanie – lekarze, których sława rozniosła się hen, daleko poza granice miasta: Sebastian Petrycy z Pilzna, znany również jako miłośnik i tłumacz dzieł Arystotelesa, Jan Porębny – medyk i filozof zarazem, czy wreszcie Stanisław Bartolon Starszy. Oto kanonik sandomierskiej kolegiaty – Marcin z Urzędowa, który po naukach w Padwie i Krakowie opracował pierwszy polski słownik botaniczny – „Herbarz polski”. Oto wreszcie najsławniejszy z nich wszystkich – kompozytor Mikołaj Gomółka, autor „Melodii na psałterz polski” do słów Jana Kochanowskiego.

A jak wygląda życie intelektualne tego miasta dzisiaj? Ano, nie aż tak bujnie i wspaniale, jak byśmy sobie tego może życzyli. Dzisiejszy Sandomierz bowiem, bogaty we wspaniałe zabytki przeszłości, restaurowane od tylu lat z wielką troską i pieczołowitością – własnym, prężnym środowiskiem twórczym i mnogością różnorakich inicjatyw kulturalnych poszczycić właściwie się nie może. Jest tutaj co prawda Klub MPiK, Muzeum Okręgowe i Biuro Wystaw Artystycznych, ale działalność tych instytucji bywa dość nieśmiała i ograniczona. Możliwe, że efekt to bliskiego sąsiedztwa dwóch ośrodków wojewódzkich – Kielc i Tarnobrzega, choć nie

CIĄG DALSZY NA STR. 7

TERESA MACISZEWSKA
Fot. **archiwum**

Nauka na rozdrożu

Schyłek XX wieku nie jest epoką triumfu rozumu. Jak donosi prasa francuska, 9 mln Francuzów przynajmniej raz do roku zasięga porady astrologa. Czasopismo „Horoscope” osiąga nakład 160 000 egzemplarzy, a w 1975 r. w tym oświeconym kraju został powołany do życia Międzynarodowy Ośrodek Magii. Nie jest to zjawisko charakterystyczne akurat dla Francji – moda na parapsychologię, chiromancję, okultyzm i szamanizm ogarnęła cały cywilizowany świat.

Czy ta niewinna moda może niepokoić, skoro w tym samym czasie, w tym samym świecie działają polityczni terroryści, religijni fanatycy i nacjonalistyczni desperaci? Mogłaby nie martwić, gdyby nie to, że jest ona tylko innym obliczem tego samego zjawiska. Nie wolno zapominać też, że irracjonalizm był pożywką, na której wyrósł faszyzm i dlatego ilekroć pojawiają się ludzie odrzucający uniwersalność zasad rządzących światem i logiczną argumentację – jako sposób przekonywania innych, należy zwiększyć czujność.

Uniwersalizm i logika argumentacji, to wartości kultywowane przez naukę: przez tę naukę, która właśnie w ostatnich kilkunastu latach nękana była kryzysem zaufania. Jest trochę prawdy w porzekadle o szewcu, który w dziurawych butach chodzi. Nauka, którą często krytykowano za zajmowanie się problemami hermetycznymi, marginesowymi, bardzo mało uwagi poświęca warunkom i prawidłom własnego rozwoju. Metody naukowe, tak skuteczne przy badaniu ewolucji, galaktyk czy rozszyfrowywaniu kodu genetycznego, zawodzą często wobec złożonych procesów socjologicznych, nie dających się mierzyć ilościowo ani odtwarzać w laboratorium.

Dlatego też wciąż nie znamy odpowiedzi na bardzo wiele ważnych pytań, którymi powinny zająć się antropologia i psychologia społeczna. Kryzys zaufania do nauki, jako metody rozwiązywania problemów stojących przed ludzkością, ma przecież niewątpliwie ścisły związek z falą irracjonalizmu, zalewającą naszą kulturę, z ekstremizmem fanatyków religijnych i politycznych, z osłabieniem roli rozumu. Nie wiemy jednak, jaki jest ten związek, co jest skutkiem, a co przyczyną kryzysu nauki, nie zostały zbadane rozmiary tego kryzysu. Od nauki oczekiwano, że zastąpi religię, etykę, że zwolni ludzi z obowiązku moralnego wyboru, że będzie dostarczać ostatecznych odpowiedzi na pytania dotyczące ładu świata. Innym problemem jest to: czy uczeni oszukiwali maluczkich, by zająć dogodną – z wielu względów – pozycję kapłanów nowego kultu, czy też oszukiwaliśmy się sami.

Wśród krytyków nauki są i tacy, którzy twierdzą, że nie była ona w stanie rozwiązać żadnego z ważnych problemów ludzkości – bądź, rozwiązując jedne, tworzyła nowe, jeszcze trudniejsze do pokonania. Rzeczywiście, często tak było. Czy jednak nie jest to jedną z prawidłowości historycznego rozwoju naszego gatunku? Człowiek, poprzez swój szczególny stosunek do natury, prowokuje niejako swą działalnością do powstawania coraz to nowych jakościowo przeszkód na drodze rozwoju cywilizacji. Złudzeniem, żywionym przez wielu, było jednak to, że droga ta ma zaprowadzić nas do Świata Wiecznej Obfitości, gdy tymczasem ma ona jedynie zapewnić nam przetrwanie. Gdybyśmy zrezygnowali z nauki, szanse przetrwania zmalałyby znacznie.

Jakie są skutki kryzysu zaufania dla samej nauki? Czy została ona osłabiona? Pod koniec lat sześćdziesiątych wydatki na badania naukowe w najbardziej rozwiniętych krajach przemysłowych przestały rosnąć, a gdzieniegdzie nawet zmalały. Bardziej jednak znamienne niż globalne wydatki są wewnętrzne zmiany priorytetów w nauce. Wydaje się, że kończy się era dominacji fizyki, a coraz większy wysiłek badawczy jest kierowany na nauki biologiczne; także na te dziedziny, które bezpośrednio służą poprawie ludzkiego bytu – choćby na farmakologię, rolnictwo i naukę o żywieniu. Czyżby miało to świadczyć, że kryzys zaufania obudził sumienie uczonych? Wniosek to ponętny, lecz trudny jeszcze do potwierdzenia.

K. SZYMBORSKI
(Interpress)

Ze szkoły na stadion

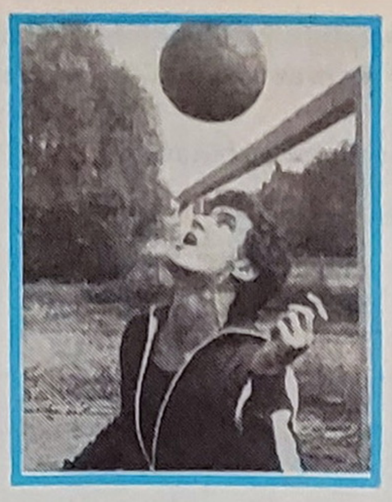

Starzy bytomianie mówią, że kiedyś nie było z piłką nożną tak jak dzisiaj. Teraz trzeba bogatego mecenasa, nowoczesnych obiektów sportowych, sztabu szkoleniowców. A dwadzieścia, trzydzieści lat temu uszył ktoś w domu piłkę, na ścianach „familoków" narysowało się kredą bramki i mecze trwały do nocy. Aż ktoś wylał wiadro wody z okna.

Wtedy takie rozgrywki nie miały jeszcze swojej nazwy, bo nie było organizatora. Ale ich tradycja przetrwała do dziś, tyle że nazywa się je turniejami drużyn podwórkowych. Z nich wyłania się narybek do przyszłego wielkiego piłkarstwa.

W Bytomiu szansę uczestniczenia w życiu sportowym stwarzają młodzieży szkolnej zasadnicze szkoły górnicze. Do najlepszych należy szkoła przy kopalni „Szombierki" i Zasadnicza Szkoła Zawodowa Ministerstwa Górnictwa w Rudzie Śląskiej. Zajęcia w klasach sportowych prowadzą wyspecjalizowani trenerzy, uczniowie wykazujący talent sportowy trafiają bezpośrednio do mistrza Polski – GKS-u „Szombierek".

Adam Purchla zaczął grać w piłkę w trzynastym roku życia. Chodził jeszcze do szkoły podstawowej w rodzinnym Dzierżoniowie, gdy po kilku sprawdzianach trener Pisarski przyjął go do drużyny trampkarzy przy Lechii Dzierżoniów. Niedługo potem wyjechał z drużyną na mecz do Czechosłowacji i strzelił swoją pierwszą w życiu „dużą" bramkę. Wygrali 1:0.

Trener od samego początku mówił: – Adam, masz dobre warunki fizyczne i talent, jeśli będziesz ambitny, możesz daleko zajść. Wybierz sobie szkołę w takim mieście, gdzie jest dobry klub sportowy.

Na Śląsk przyjechał za namową kolegi, który uczył się w Zespole Szkół Zawodowych Ministerstwa Górnictwa – Rudzie Śląskiej. Przy szkole istnieją dwie klasy sportowe o specjalnościach piłka nożna i ręczna. Tutaj po trzech miesiącach nauki i wytężonego treningu Adam Purchla przyjęty został do pierwszej drużyny juniorów GKS Szombierki – Bytom.

– Nasze miasto, klub, a także szkoły górnicze stwarzają młodzieży doskonałe warunki do uprawiania sportu – mówi Jan Boroń, trener koordynator do spraw młodzieży GKS „Szombierki". – Mamy obecnie w drużynie juniorów wielu młodych chłopców, którzy przyjechali na Śląsk uczyć się zawodu górnika i poprzez zasadnicze szkoły górnicze osiągnęli spore sukcesy sportowe. Można tu przytoczyć takie nazwiska jak bracia Wilimowie, Rudolf Wojtowicz, Krystian Walot, Andrzej Mierzwiak, Henryk Sośnica, Stanisław Bykowski, Mirosław Sowiński i wielu innych piłkarzy wychowywanych w bytomskich szkołach i w naszym klubie, którzy otarli się już o różne szczeble reprezentacji Polski. Może w przyszłości będzie wśród nich również Adam Purchla. Takich jak on w klubie mamy kilkudziesięciu. Kim będą w przyszłości, zależy od tego, jak wykorzystają daną im sansę.

Adam ceni sobie tę szansę. Wie, że gdyby tu nie trafił, pewno nie miałby możliwości tak szybkiego wejścia do sportu. Twierdzi, że szesnastoletni Lubański w reprezentacji Polski jest wyjątkiem w historii piłkarstwa. Ale każdego, kto posiada choć trochę talentu i ambicji, stać na to, żeby po wielu latach treningu i szkolenia zostać dobrym piłkarzem. Sam codziennie po lekcjach dwie godziny trenuje, a podczas wakacji, gdy wszyscy wypoczywali, on codziennie trenował na łące. Koledzy zazdroszczą mu wyróżnienia, jakim było wybranie go – najmłodszego wśród juniorów – do jedenastki reprezentującej Szombierki podczas międzynarodowego turnieju piłkarskiego we Włoszech. Każdy jednak widzi, jakim wysiłkiem je zdobył. Gdy inni wychodzili do kina, wyjeżdżali na wycieczki, do domów rodzinnych – on trenował. A gdyby w klubie się dowiedzieli, że z powodu sportu zaniedbuje się w nauce – zrezygnowaliby z niego...

Zaraz po lekcjach chłopcy przebierają się w dresy i wybiegają na stadion, na trening. Podobno to najlepsza pora. Po kilku godzinach siedzenia w ławce chce się wyskoczyć pod samo niebo. Za płotem stadionu stoją umorusane mikrusy i z zazdrością obserwują zagrywki taktyczne, główkowanie, podbijanie piłki, ćwiczenia sprawnościowe.

Po treningu, gdy juniorzy schodzą z płyty boiska, Adam mówi, że od tego właśnie się zaczyna. I z uśmiechem wskazuje malców za płotem. – Najpierw tylko się patrzy – mówi – potem chce się dotknąć piłki, aż wreszcie zaczyna się kopanie. Teraz już wszystko zależy od pracy, wytrzymałości psychicznej i ambicji, bo warunki w Bytomiu są idealne. Tutaj wszystkim stworzono szansę zdobycia wykształcenia i uprawiania sportu. Po prostu po lekcjach trzeba iść na stadion.

STANISŁAW WOŹNICA

Fot. Z. Bisanz

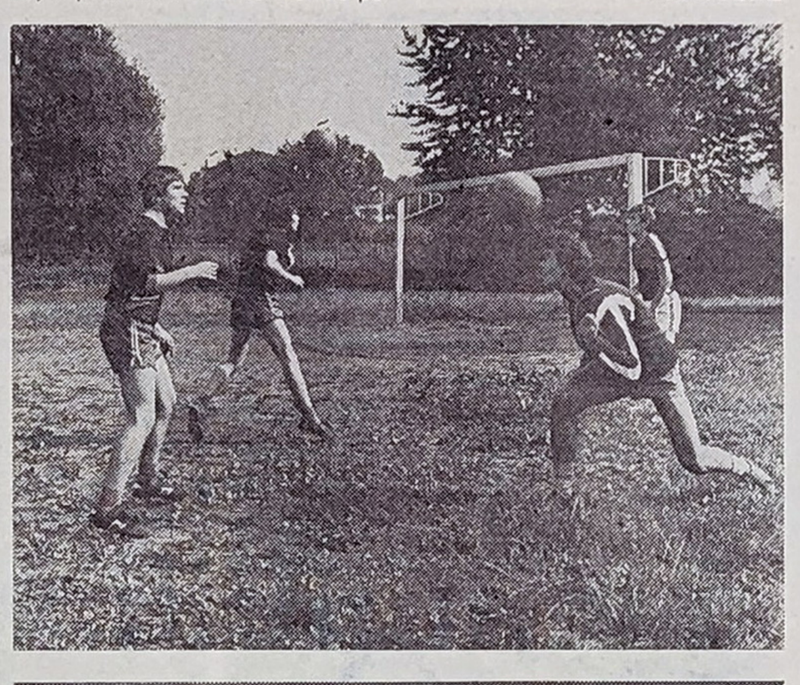

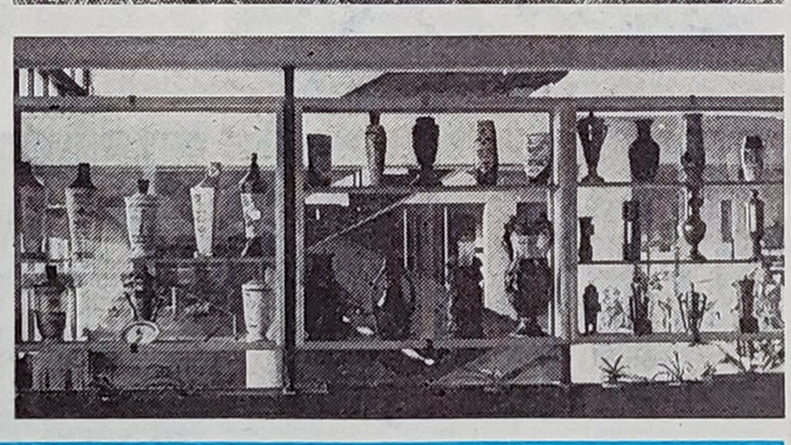

ECHOSONDA... ECHOSONDA...

W „DRUGIM" DOMU NA ALPEJSKIEJ

Warszawski internat z ulicy Alpejskiej 16 na pierwsze wrażenie – oszałamia. Nowy dwupiętrowy budynek. Na dole przestronna świetlica i stołówka. Wszędzie lśniące podłogi. Pokoje najwyżej czteroosobowe. Każdy mieszkaniec ma swój stolik i krzesło, szafę w ścianie. Powierzchnia pokoju większa niż w niejednym z akademików. Łazienka, natryski z ciepłą wodą. A za oknem, mimo że to jeszcze Warszawa, przepojone żywicą sosnowego lasku świeże powietrze. Jak już jesteśmy na zewnątrz – tuż obok internatu dwa boiska sportowe i zaraz dalej gmach szkoły. Jest to na pewno przypadek daleko odbiegający od przeciętności, ale zobaczmy czy pierwsze wrażenie to nie fatamorgana. Czy mieszkając w takim, nie boję się tego określenia, komforcie, ma się wszystkie bolączki z głowy?

– Jak jesteśmy w domu – mówi jednak z mieszkanek – to tęsknimy trochę za koleżankami, kolegami, lecz za samym internatem nie.

– A pamiętasz tych pięciu marynarzy? – dorzuca druga. – Nie wiedzieliśmy co się stało, a oni po prostu przyjechali po kilku latach do internatu odwiedzić dyrektorkę i wychowawców. A zeszłoroczni maturzyści? Też przyjeżdżają.

Ustalmy więc, jaka atmosfera jest w tym internacie. Trudno mi przytoczyć wszystkie wypowiedzi. W każdym razie najważniejsze dla jego mieszkańców jest zaufanie do wychowawców lub jego brak.

– Pani Olszewska – mówią – to nas wysłucha, nawet nakrzyczy jak popadniemy, lecz to zostaje między nami. A inny wychowawca potrafi powiedzieć: ty mnie jeszcze nie znasz, nie wiesz ile osób przeze mnie stąd wyleciało. Albo człowiek powie coś o sobie wychowawcy, a następnego dnia jest wzywany do dyrektora. Nawet po stylu budzenia można poznać wychowawcę. Style skrajne stosowane tutaj to: „Dzieci, proszę wstawać" i „Co wy o tej porze robicie jeszcze w łóżkach?!"

Rygor w internacie jest spory. Stosowane są kary, tylko dwie. Pierwsza – nagana i ostatnia – „żegnamy".

Czy samorząd internatu nie może np. poręczyć za kolegę i dać mu szansę pozostania w internacie?

– Nikt nas o zdanie nie pyta – mówią – a przecież my lepiej znamy tego człowieka, który mieszka z nami. Po chwili namysłu Artur przypomniał sobie jeden przypadek sprzed 3 czy 4 lat, kiedy to samorząd internatu wstawił się (skutecznie) za kolegą, któremu groziło wyrzucenie. Ale to było tak dawno, a w ciągu roku przeciętnie internat musi opuścić około dziesięciu osób.

Inne bolączki internackiego życia: w jednej grupie wychowawca stara się dopasować skład osób mieszkających wspólnie, zgodnie z ich oczekiwaniami, ale w innej są przypadki ustalania składu na siłę. Jak można mieszkać z człowiekiem, którego się nie cierpi? Osobna zupełnie sprawa to rozkład dnia. Wprawdzie mieszkańcy tego internatu nie muszą chodzić na „odrabianki" do szkolnych klas, bo mogą się uczyć w swoich pokojach, ale żelazny czas nauki od godz. 16 do 18[30] trudno naruszyć.

– Zaraz po obiedzie mamy około dwóch godzin wolnego czasu – mówi Artur – można się zwolnić, pojechać do centrum. Tylko że ponad godzinę człowiek traci na przejazd. Więc taki wyjazd jest bez sensu. Czy zawsze muszę wracać na 16-tą, nawet jeśli akurat nie mam nic do odrabiania?

– Niby możemy wychodzić z internatu bez problemów – mówi Bożena – ale to wypytywanie wychowawców czasami denerwuje: a po co? a gdzie? a do kogo? a może byś nie poszła? Czy nie wystarczyłoby tak jak w innych internatach zapisać się do zeszytu i wyjść?

Dalej opowiadają, że trzeba wiedzieć „na co" najłatwiej się wychodzi. Chłopak chciał jeździć na pływalnię do Pałacu Młodzieży, to przyniósł zaświadczenie, że ma co tydzień wizyty u lekarza. Wiadomo też, że korepetycje przekonują, podczas gdy lekcje tańca raczej nie.

W sumie jednak nie narzekają. Mogą sami lub w grupach chodzić do teatru, kin. W pobliskim domu kultury na Zalipiu są mile widziani, niektórzy byli tam na recitalu Jana Wołka. Inni wspominają występy Maryli Rodowicz w kinie „Wrzos", a nawet karnety do Filharmonii. Co im utrudnia życie? Na przykład zakaz prania większych rzeczy. Fakt, że nie ma gdzie tego suszyć, lecz wysyłanie do domu brudnych swetrów czy spodni też nie jest najszczęśliwszym rozwiązaniem. Można by kupić wirówkę odsączającą wodę z pranego ubrania. Wtedy nie byłoby odpadających z wilgoci tynków. Jest też suszarnia przy szkolnej pralni. Ale nie wiadomo czy można z niej korzystać. Bo np. kolorowy telewizor stoi od kilku lat w świetlicy; lecz zamknięty. Oni zaś mogą korzystać z czarno-białego.

Nasza rozmowa była długa. Negatywy padały obok pozytywów. I nikt nie usiłował mnie przekonać, tak jak to było kiedyś w Zawierciu, że ten internat to najwspanialsze miejsce na świecie, a wszystkie zarządzenia dyrekcji to czysta radość dla mieszkańców. Sądzę, że ten styl rozmowy świadczy również o atmosferze panującej w tym internacie. I świadczy moim zdaniem zdecydowanie dobrze. Trochę zaskoczył mnie fakt, że nikt z nich nie wie o Statucie Internatu, który został opublikowany w Dzienniku Urzędowym nr 5 MOiW już w kwietniu bieżącego roku. Pani dyrektor powiedziała mi, a było to rzeczywiście kilka dni po rozpoczęciu roku szkolnego, że wkrótce statut zostanie publicznie przedstawiony tak, by mieszkańcy mogli się z nim zapoznać.

Jak to wygląda w pozostałych internatach? Jeśli jesteś mieszkańcem internatu, zapraszam Cię do udziału w echosondzie. Wypowiedzi mogą być różne: obejmujące wszystkie pytania, lub informujące tylko o jednym aspekcie Twojego internackiego życia, który sprawia, że w internacie czujesz się, lub nie, jak w domu.

- Jaka atmosfera panuje w Twoim internacie?
- Czy jesteś zadowolony z warunków socjalno-bytowych?
- Co wiesz o nowym Statucie Internatu?

Czekam na listy. Na kopercie dopiszcie koniecznie: **„Echosonda".**

ANNA PACIOREK

WIATRAK W BĘSI

Wiatraki pojawiły się w Europie pod koniec XII w. (Normandia, 1180 r.) i służyły przede wszystkim do poruszania urządzeń młyńskich – kamieni mielących ziarno na mąkę. W Holandii używano ich także do poruszania czerpaków do wody, niekiedy obracały także koła młynów papierniczych.

W Polsce zaczęto budować wiatraki po 1270 r.; najbardziej rozpowszechniły się w XIX w. Dzisiaj najwięcej wiatraków można spotkać na wędrówkach w Wielkopolsce, szczególnie w województwie leszczyńskim, ale i w reszcie kraju też można znaleźć śliczne egzemplarze.

Wiatraki znajdują się w zasadzie pod ochroną konserwatorską, mimo to jest ich coraz mniej.

Najbardziej rozpowszechniony był typ wiatraków budowanych „na koźle" (tzw. koźlaki), obracanych w całości przy nastawianiu skrzydeł pod wiatr.

W wiatrakach typu holenderskiego (tzw. holendrach) korpus był przeważnie murowany, obracała się tylko czapa – głowica ze skrzydłami i wałem napędowym. Pośrednim typem był wiatrak, którego cały korpus obracał się na obręczy stalowej za pomocą rolek (tzw. peltrak).

Wiatrak w Bęsi, wiosce położonej między Biskupcem a Reszlem, zbudowany w latach 1803–1810 i odnowiony w 1975 r., jest typowym „holendrem". Na czterech kondygnacjach mieści on restaurację, kawiarnię i Muzeum Młynarstwa Powietrznego (czyli po prostu wiatraków), z licznymi narzędziami, dobrze zachowanymi drewnianymi kołami i wałem napędowym. **(kg)**

Fot. **archiwum**

A jakie zabytki techniki są w Twojej okolicy? Czekam na fotograficzne lub rysunkowe informacje o nich! W opisie nie zapomnij podać: wieku zabytku (choć w przybliżeniu), jego nazwy, stanu, w jakim się znajduje oraz jego ewentualnego użytkownika.

Szef Klubu
Tropicieli Śladów Dawnej Techniki

Mgr Anna Szewielow jest chemikiem, pracownikiem Zakładu Badań Polarnych Instytutu Ekologii PAN. Niedawno wróciła z półrocznego pobytu na Antarktydzie, gdzie m. in. prowadzone były badania kryla. Była to IV wyprawa na Stację im. Henryka Arctowskiego pod kierownictwem docenta Andrzeja Myrchy z Zakładów Badań Polarnych.

Wśród 60-osobowej grupy polskich badaczy znajdowali się biolodzy, geolodzy, biochemicy, botanicy.

BARDZO CHCIAŁABYM TAM WRÓCIĆ...

M.W. – **Byłaś na Antarktydzie od 10 listopada do 4 maja tego roku. Co tam robiłaś?**

Anna Szewielow. – Zajmowałam się badaniem zawartości różnych pierwiastków w krylu...

M.W. – **Co to właściwie za stworzenie ten kryl, o którym tyle się mówi?**

A.S. – Kryl to mały skorupiak długości od 3 do 5 cm, podobny do raczka. Ma czarne wystające oczy, które wyglądają jak doczepione do głowy kulki. Chcąc utrzymać się przy życiu musi być w ciągłym ruchu, aby nie spaść w głębiny, gdzie nie ma planktonu stanowiącego jego główne pożywienie. Jest prawie przeźroczysty, tak że gdy jest najedzony – widać dokładnie jego narządy wewnętrzne: zielony żołądek, wątrobę, jelito. Stanowi on główne pożywienie wielorybów, fok, pingwinów i ptaków. A te jego czarne oczy są 16 razy wrażliwsze na światło niż nasze, toteż doskonale widzą nawet w półmroku...

M.W. – **Bralaś udział w połowach tego zwierzaka?**

A.S. – Nasza grupa wodna składała się z kilku osób i dysponowała małą łódką rybacką, której kapitanem był Edek Dibowski – rybak z Pucka. Na kryla wypływaliśmy zawsze w nocy, najwcześniej koło godziny jedenastej. Połowy trwały dwie, trzy godziny. To było dość męczące, musieliśmy się więc zmieniać. Kryl w nocy... świeci! Nie zostało dotąd zbadane dlaczego tak się dzieje, w każdym razie nocą, na tle ciemnogranatowego morza, ławica kryla wygląda jak chmara małych fosforyzujących punkcików. Od razu po wyciągnięciu sieci można się było zorientować – po ilości tych punkcików – czy połów był udany.

M.W. – **To dlatego łowi się go w nocy?**

A.S. – Ależ nie! On nocą wypływa na powierzchnię na żerowanie i tworzy wtedy większe skupienia. W ciągu dnia schodzi niżej i jest bardziej rozproszony...

M.W. – **Czy jadłaś kryla?**

A.S. – Osobiście nie jadłam, ale był wśród nas kolega, który z każdego połowu wybierał sobie jednego i... zjadał go na surowo; twierdził, że bardzo mu to smakowało.

M.W. – **Dla mnie Antarktyda to „wielka biała pustynia". Jak tam się w ogóle mieszka?**

A.S. – Główny budynek Stacji nazwaliśmy „samolotem" z powodu jego kształtu. Tam mieściły się pokoje dla zimowników, tzn. uczestników wyprawy, którzy zostają na zimowanie na Stacji. Są tam półtora roku i prowadzą badania naukowe. My, grupa letnia, mieszkaliśmy w drewnianych domkach lub przyczepach samochodowych. Te drewniane domki, które mają ocieplane dachy i podłogi, przeznaczone są tylko na lato. Na zimę są za chłodne. Poza tym na naszej Stacji są laboratoria biologiczno-hydrobiologiczne, gdzie się hoduje ryby czy przechowuje złowionego kryla. W laboratorium hydrobiologicznym temperatura jest tylko nieco wyższa niż na zewnątrz. Jest ono nieocieplane, aby zapewnić krylowi i rybom normalne warunki. Dwa charakterystyczne punkty naszej Stacji to latarnia morska i ogromny, pomalowany na srebrno zbiornik paliwa.

M.W. – **Na Antarktydzie żyje wiele różnych zwierząt. Czy często miałaś okazję je oglądać i spotykać?**

A.S. – Koło naszej Stacji na skałach mieściło się pingwinisko. Kiedy przypłynęliśmy, pingwiny właśnie wysiadywały pisklęta. Tylko na okres lęgu i zakładania gniazd wychodzą na brzeg, resztę roku spędzają w wodzie. Na pingwinisku są u siebie i jeśli ktoś przekroczy ich barierę nietykalności, to zaraz atakują. Miałam kiedyś niezbyt miłą przygodę; podeszłam zbyt blisko do pingwina chcąc mu się po prostu przyjrzeć, a on mnie nagle zaatakował: wyglądał jak rakieta – dziób do przodu, skrzydła do tyłu... Trzasnął mnie tak tym dziobem w nogę, że do dziś pamiętam. Ale kiedy zobaczył, że stoję bez ruchu, odwrócił się i uciekł! Pingwiny mają swojego prawdziwego śmiertelnego wroga – jest to skua – drapieżny ptak, który napada na słabsze sztuki i młode pisklaki. Atakuje je na obrzeżu kolonii, gdyż boi się wejść do środka, bo pingwiny podnoszą wrzask i bronią się.

Słoń morski – największy przedstawiciel rodziny fok – może naprawdę być niebezpieczny i kiedy się podejdzie zbyt blisko – potrafi zaatakować. Na szczęście zwierzęta te nie zaczepiane – nie atakują; usiłują tylko odstraszyć ludzi najróżniejszymi sposobami: syczą, warczą, otwierają szeroko pyski. Najsympatyczniej wspominam więc spotkania z foką uchatką. Jest najmilszą z fok przebywających na Antarktydzie! Wspaniale potrafi pozować do zdjęć, zachowuje się jakby wiedziała, że się ją fotografuje...

M.W. – **Ale jednak mimo tych atrakcji, było to pół roku oderwania od cywilizacji, niemal „sam na sam z naturą"...**

A.S. – Na Antarktydzie rzeczywiście odczuwałam szczególnie bliski kontakt z naturą. Bo 60 osób to tylko teoretycznie jest dużo, a w praktyce, kiedy wszyscy się rozeszli po terenie, robiło się pusto. Z wyjątkiem kilku osób pracujących na świeżym powietrzu, ludzi nie było widać. W dodatku laboratorium, w którym ja pracowałam mieściło się na skraju Stacji, byłam więc jeszcze bardziej odizolowana. Koło naszego domku pingwiny zrobiły sobie ścieżkę i defilowały spokojnym dostojnym krokiem. Czułam, że te zwierzęta są najważniejszymi istotami tego zakątka Ziemi, a my jesteśmy tutaj tylko dodatkiem, gośćmi, którzy przyjechali je odwiedzić na jakiś czas. Staraliśmy się więc jak najmniej im przeszkadzać, nie wprowadzać zamętu do tego surowego świata...

M.W. – **Różni się on tak bardzo od naszego?**

A.S. – W lecie – bo w tej porze roku tam byłam – tylko na szczytach skalistych wzgórz widziałam trochę śniegu. A poza tym są pokryte żółtopomarańczowymi porostami. Ale krajobraz jest zupełnie gładki – nie ma drzew, krzaków, tylko trawa i skały. Woda była jednak na tyle ciepła, że można było wejść do niej na bosaka i nogi nie tak szybko drętwiały.

M.W. – **Na zakończenie pytanie zadawane zawsze podróżnikom: Jakie przeżycie utkwiło ci najbardziej w pamięci?**

A.S. – Wielkim przeżyciem dla mnie i niewielkiej grupy osób było... doprowadzenie bieżącej wody do laboratorium. Tak się złożyło, że z powodu innych zajęć musieliśmy to robić w najzimniejsze dni, a do tego wiał silny wiatr, padał śnieg. Rurociąg, ułożony w drewnianych korytarzach, zamarzł. Musieliśmy wziąć palniki i na tym zimnie chodzić wzdłuż rur i rozmrażać je. Niektórzy nie wierzyli, że to cokolwiek pomoże i tylko uśmiechali się sceptycznie. Ale to jeszcze bardziej nas zdopingowało. No i udało się! Byliśmy potem zupełnie zgrabiali i kieliszek miodówki okazał się absolutnie niezbędny.

M.W. – **Za te wszystkie trudy dostaliście po 40 dni urlopu po powrocie do kraju...**

A.S. – Przepłynęliśmy po drodze mnóstwo stref klimatycznych. Tam, jak wyjeżdżaliśmy, zaczynała się zima a tu, w Polsce, już była wiosna. I ta ciągła huśtawka, to był szok dla organizmu. Nasza odporność na infekcje zmniejszyła się. Po powrocie wielu z nas miało grypy, katary. Ale mimo to bardzo chciałabym tam wrócić. Jestem zafascynowana tym rejonem Ziemi. Oprócz tego praca w tamtych warunkach na świeżym materiale, dała mi ogromną satysfakcję. W ogóle, prawdę mówiąc, cała ta wyprawa była dla mnie wielką przygodą!

Rozmawiała:
MAŁGORZATA ŻUK-WIŚNIEWSKA
Fot. **Kajetan Adamowski** i „Perspektywy"

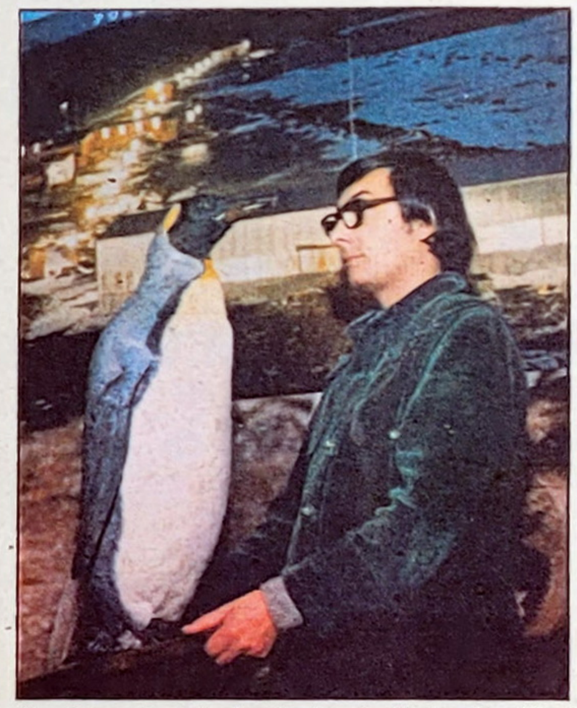

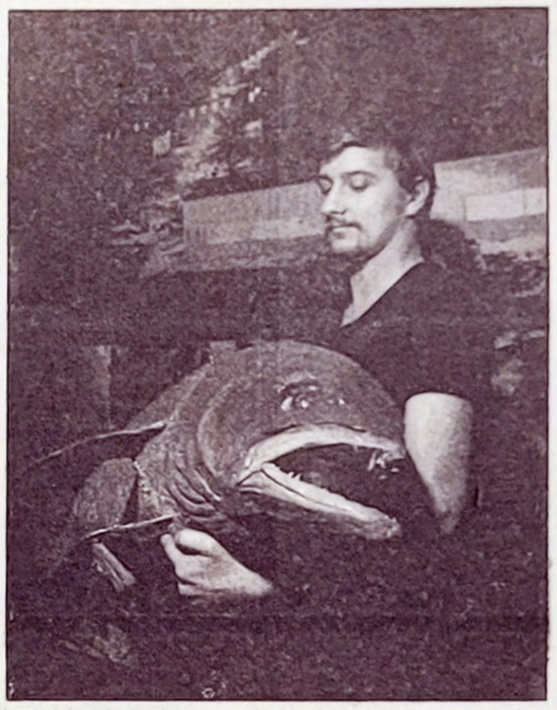

*Pingwiny zamieszkują niemal wyłącznie chłodne rejony Ziemi, w tym rejon Antarktydy. Oto jeden z najokazalszych – pingwin królewski. Po prawej: **kłykacz – okazała, drapieżna ryba antarktycznych wód***

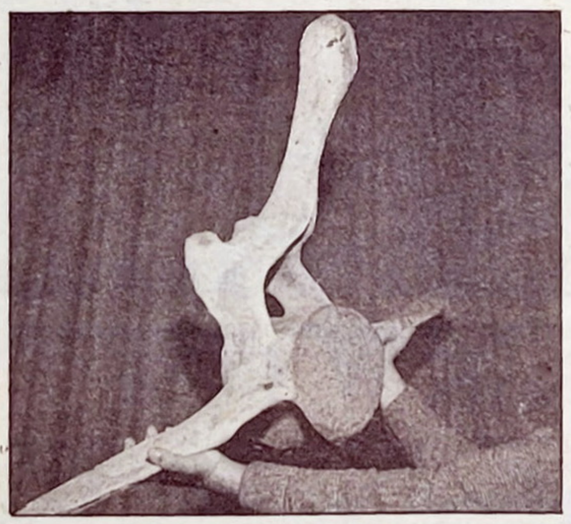

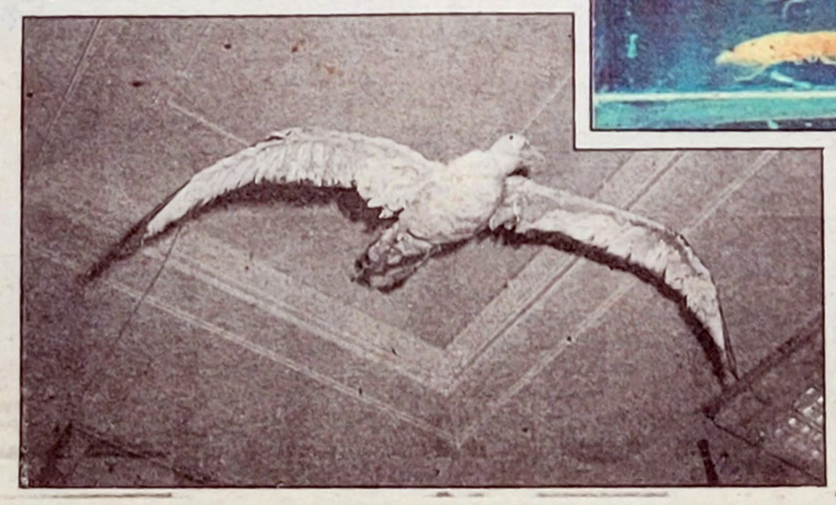

*U góry z lewej: **jeden z kręgów wieloryba. Tak ciężki, że przedstawiciel naszej redakcji ledwo zdołał go utrzymać przed obiektywem aparatu***

*Powyżej z prawej: **Kilka okazów kryla***

*Obok. **Albatros. Przedstawiciele tej rodziny większość życia spędzają szybując nad wodami mórz, zaś gnieżdżą się na równinnych wyspach. Jako niezmordowani lotnicy i szybownicy – pojawiają się często nad lodowymi pustkowiami Antarktydy***

REPORTER Świata Młodych

ELITY

Czy jest to zło konieczne?

Chcę napisać o zjawisku, które obserwuję wokół siebie, a które wydaje mi się doskonałym tematem do dyskusji. Chodzi o szerzący się w naszych szkołach snobizm.

Utworzyła się tzw. elita lub śmietanka szkolna. Klasy dzielą się na taką właśnie elitę i „innych". Wśród „innych" są jeszcze różne podziały, ale nie o tym chciałam pisać. Przedstawiam teraz typowego „elitarnego" tak jak widzimy go my, „ci inni". A więc jest to istota przystojna (chociaż to nie jest reguła). Nosi się bardzo modnie, ma zagraniczny magnetofon i nocami przesiaduje nagrywając przeboje z nocnego studia Gamma. Ma też w głębokiej pogardzie zwykłych szarych ludzi. Czasem traktuje nas jak powietrze, częściej jako adresatów dowcipów, intryg, obmów itp. Uważa się za osobę inteligentną, uczy się najczęściej średnio, żeby nie zostać kujonem – tego „elitarni" boją się jak ognia. I żeby nie zostać osłem, co nie licuje z jego pozycją w społeczeństwie szkolnym.

Ciekawy jest jego stosunek do ludzi aktywnych. Przez termin ten rozumie ludzi biorących udział w życiu szkoły, olimpijczyków, także uczniów mających jakieś hobby, np. wędkarstwo, geografię itp. To są według niej „frajerzy". „I po co ci to durniu, nie wyrywaj się. Ambicją „elitarnego", a raczej tym, co mu się należy, jest posiadanie wyższego wykształcenia i dobrze płatnego zawodu.

Być może przedstawiam to zjawisko w czarnych kolorach. Nie jestem pewna czy umiałam to ocenić obiektywnie. Ale jedno nie ulega wątpliwości – właśnie oni, elitarni, ta „śmietanka", tworzy atmosferę szkoły. Jest w tym dużo naszej winy. Nie umiemy jakoś zapobiec szerzeniu się tej atmosfery niezdrowej rywalizacji, intryg, obmów, szeptów itp. Dlatego właśnie proponuję rozpoczęcie na łamach „Świata Młodych" dyskusji na ten temat. Ciekawa jestem czy wszędzie istnieją takie elity. Jeżeli tak, to jak mamy postępować my, szarzy ludzie, „frajerzy"? Czy pogodzić się z istnieniem elity jako złem koniecznym? Czy walczyć z nią? A jeżeli walczyć, to czy nie będzie to walka don Kichota z wiatrakami?

Uczę się w ósmej klasie. W tym roku kończę podstawówkę i mam cichą nadzieję, że w liceum, do którego się wybieram, będzie lepiej, że tam rozsądek zwycięży.

„Plamka"

Rok harcerski na okrągło!

Odwiedziłam ich dwa tygodnie przed oficjalnym harcerskim startem. Kiedy jednak przeszłam szkolnymi korytarzami, wiedziałam już, że nikt tu nie czeka dnia rozpoczęcia, że praca harcerska jak w rzadko której drużynie idzie pełną parą. Harcówka lśni jakby w tym roku dopiero oddano ją do użytku. Ściany świeżo pomalowane podłogi wyczyszczone. W oknach kolorowe firanki. Sami harcerze po powrocie z obozów przeprowadzili tutaj generalny remont. W magazynie ze sprzętem wszystko na swoim miejscu, a „Głos Harcerza", czyli ścienna gazetka, na bieżąco informuje o tym, co ciekawego dzieje się w poszczególnych drużynach.

Gdy spytałam, jak przygotowują się do rozpoczęcia nowego roku harcerskiego, zapanowało ogólne zdziwienie. Mówią, że w szczepie niezbyt popularne jest powiedzenie: zakończenie roku harcerskiego czy jego rozpoczęcie. Rok harcerski trwą u nich na okrągło, włącznie z wakacjami, bo przecież podczas wakacji, wyjeżdżając na obozy i biwaki, też pracują. Zresztą nie tylko na obozach. W swoim mieście w czasie wakacji też mają pełne ręce pracy. Opieka nad zieleńcami, wspólne zabawy z najmłodszymi mieszkańcami osiedla, pomoc ludziom starszym. Niektórzy z nich prowadzą grupy podwórkowe, a także udzielają korepetycji tym, którzy z różnych powodów otrzymali poprawki.

– Dla nas harcerski start – mówi Małgosia z klasy VIII – wcale nie rozpoczyna się 15.IX. Data ta jest oficjalną imprezą, wspólną, jeszcze jedną zabawą. W tym dniu zaprezentujemy dyrekcji szkoły, nauczycielom, kolegom to, co zrobiliśmy w czasie letnich miesięcy i to, co chcielibyśmy robić teraz.

Harcerze z SP nr 8 w Lublinie już w sierpniu przystąpili do normalnej pracy w drużynach. Najważniejszym dla nich wówczas zadaniem było przygotowanie ślubowania klas pierwszych. A nie było to zadanie wcale łatwe. Wiadomo, dzieciaki jeszcze trochę przestraszone i niesforne, ale harcerze poradzili sobie z nimi.

– Dzieciarnia nie tylko nie biegała z kąta w kąt – twierdzi komendantka szczepu dh Małgorzata Lefeld – ale z zaciekawieniem uczestniczyła w tej uroczystości. Po części oficjalnej harcerze z klasy VII i VIII zebrali pierwszoklasistów na pierwszą harcerską wędrówkę i pierwsze prawdziwe harcerskie ognisko. Efekt tego jest taki, że do dziś nikt z tych najmłodszych nie opuścił ani jednej zbiórki zuchowej.

Harcerze z „ósemki" rozpoczęli wraz z pierwszym dzwonkiem zbiórki. Na pierwszej zorganizowali nowe drużyny, wybrali funkcyjnych, z którymi tydzień później rozpoczęli szkolenie, ułożyli swój plan pracy. A właściwie włączyli własne pomysły do planu przygotowanego przez szczepową w myśl zaleceń Głównej Kwatery ZHP. Twierdzą, że zadań narzuconych odgórnie jest za dużo, a to, co ich najbardziej bawi czy interesuje, co chcieliby robić po prostu dla siebie, bez żadnych rozliczeń, ciągle odkłada się na plan dalszy.

– W tym roku wprost marzy nam się więcej zbiórek w terenie – mówi Darek. – Takich, na których czegoś szukamy, coś tropimy. Może uda nam się wreszcie rozpocząć cykl spotkań harcerskich poświęconych poznaniu tajemnic lubelskiej Starówki. Zwiedzić lochy, piwnice, strychy. Może coś ciekawego odkryjemy. To byłoby na pewno niezwykle interesujące, tym bardziej że mamy własną kamerę, możemy nakręcić film z naszych poszukiwań.

Obecnie wszystkie drużyny w SP nr 8 przygotowują się do Rajdu Motyli, na którym harcerze zdobywać będą wyższe stopnie.

DANUTA NIEDŹWIECKA

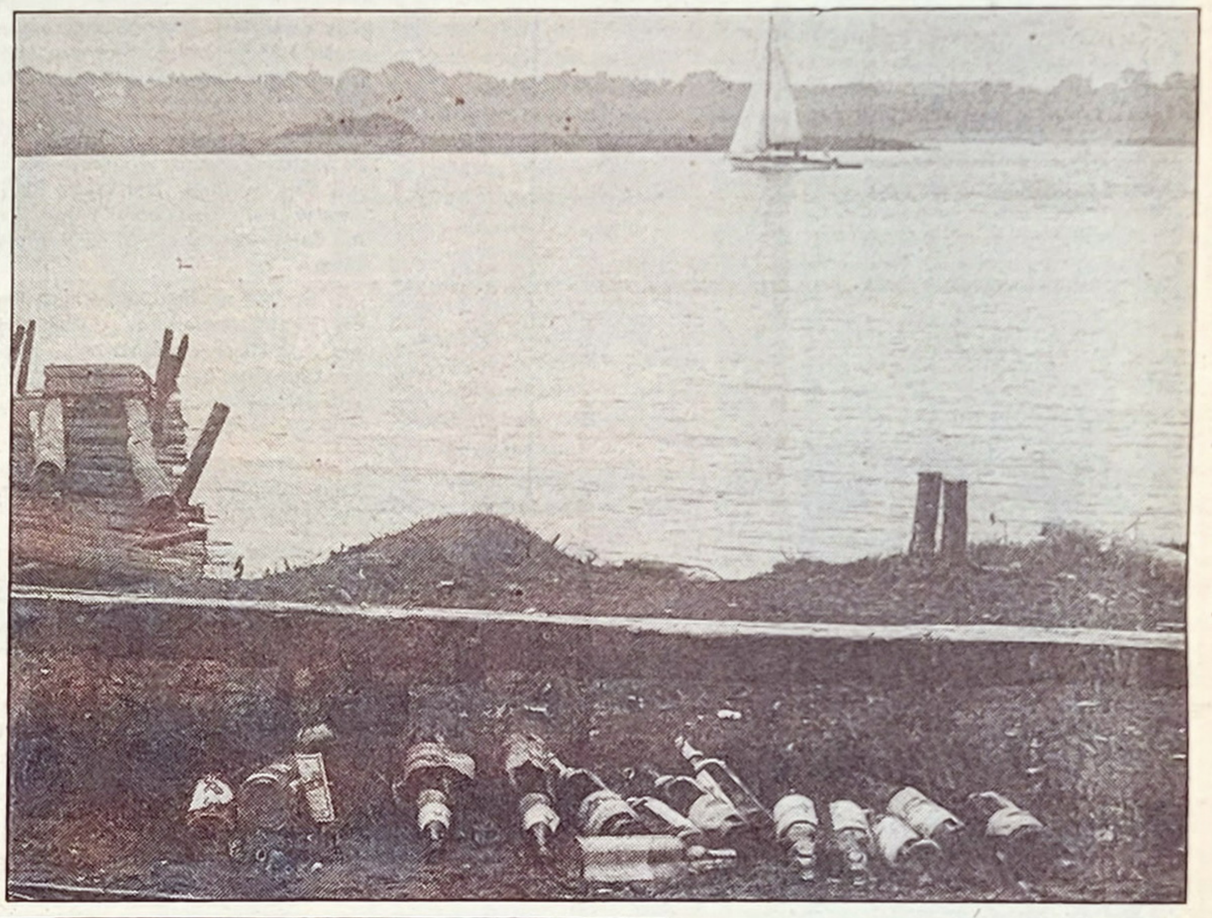

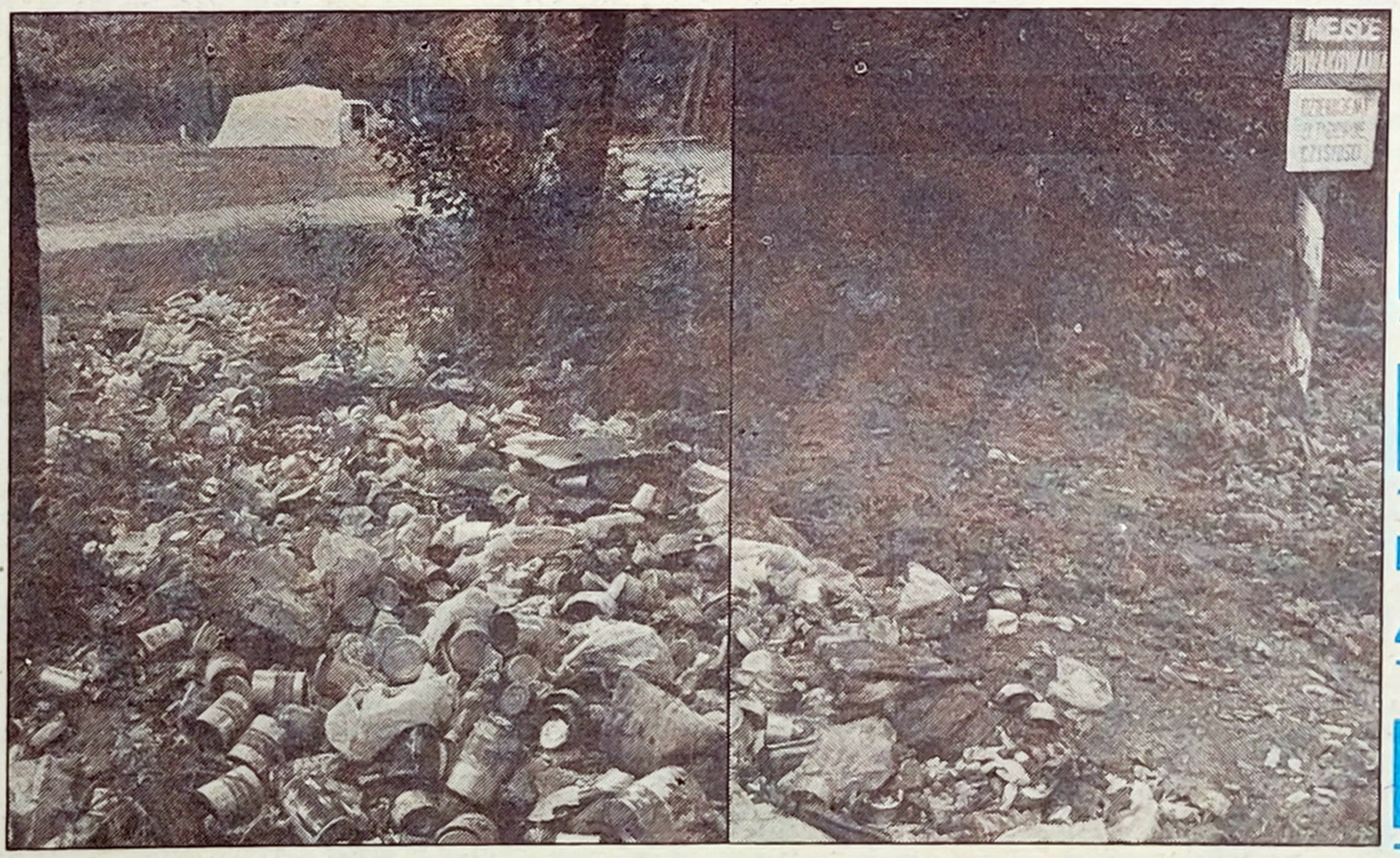

Fotografował:
MAREK SZYMAŃSKI

na ma-zu-rach NAJŁADNIEJ

REDAKCYJNA POCZTA

Chcemy nawiązać kontakt

Jesteśmy uczniami Szkoły Podstawowej nr 6 w Jarosławiu. Wkrótce nasza szkoła otrzyma imię generała Józefa Bema. Wszyscy z radością oczekujemy tego święta i pilnie przygotowujemy się do tej uroczystości. Zbieramy różne wiadomości o tym wielkim Polaku, chcemy wiedzieć o nim jak najwięcej. Prosimy bardzo Was wszystkich, a szczególnie kolegów ze szkół noszących imię naszego patrona, o pomoc w zdobywaniu materiałów i dokumentów. Chcielibyśmy bardzo nawiązać z Wami korespondencję. Serdecznie Was pozdrawiamy.

Samorząd Uczniowski
Szkoły Podstawowej nr 6
Plac Skargi 1 w Jarosławiu

Najmilsza memu sercu Redakcjo „Świata Młodych"

Pisze do ciebie wierna czytelniczka, uznająca tę gazetę za najlepszą. Dlatego nie zdziwi czytelników (wiernych)!, że wściekłam się przeczytawszy list „Rzadkiej czytelniczki", która skrytykowała „Świat Młodych", uznając, że to gazeta dla dzieci. Chyba sama jest dzieckiem i to bez zainteresowań, bo przecież nie tak łatwo znaleźć „dla każdego coś ciekawego", a ja znajduję – i to nie jeden artykuł, ale wiele. Komiksy, odcinki książek, zdjęcia zespołów, „Redakcyjną Pocztę", Abrakadabrę. Interesująca mnie tematyka Indian jest tu także poruszana. Dlatego z całym hartem mojego młodego ducha, mogę polecić tę gazetę wszystkim tym, którzy jej nie czytają. Mam nadzieję, że takich osób jest mało. Chciałabym korespondować z czytelnikami „Świata Młodych". Mam szerokie zainteresowania, a przede wszystkim jestem humanistką. Pasjonuje mnie przygoda i tematyka Indian. Lubię płatać figle, jestem wesoła. Urodą nie grzeszę, mam kocie oczy, blond włosy i nie skończone 15 lat.

Wesoła gdańszczanka, czyli
Marzena Mikołajczyk,
Gdynia 80-339,
ul. Bitwy Oliwskiej 16/17

Którzy są samotni

Jestem uczennicą 8 klasy. Mam 14 lat. Przyczyną napisania tego listu jest moje osamotnienie. Nie mam przyjaciół (tylko szkolne koleżanki). Bardzo chciałabym korespondować z koleżankami i kolegami, którzy są samotni.

Barbara Dąbrowska
ul. Kościuszki 4, 87-840 Lubień Kuj.

OHP dla dziewcząt

Tak się złożyło, że po skończeniu ósmej klasy nie mogłam uczyć się dalej. Teraz chciałabym i pracować, i zdobyć jakiś zawód. Podobno są specjalne Hufce Pracy dla dziewcząt. Słyszałam, że kiedyś w „Red. Poczcie" był adres, ale nikt znajomy nie ma tego numeru gazety.

Joanna z Zabieli

OD REDAKCJI: Listy o podobnej treści otrzymaliśmy również od Hanki J., Honoraty L., Marioli P., Danki Z. i Janki K. Im właśnie, oraz wszystkim czytelniczkom zainteresowanym możliwością zdobycia zawodu przy jednoczesnym wykonywaniu pracy radzimy, aby napisały w tej sprawie do p. BARBARY MICHAŁOWSKIEJ, OCHOTNICZE HUFCE PRACY DLA DZIEWCZĄT UL. NOWY ŚWIAT 18/20, 00-497 WARSZAWA. Pani Barbara dysponuje dokładnymi adresami hufców w całej Polsce. (wm)

GWIAZDOZBIÓR

WIEŃCZYSŁAW GLIŃSKI

Cenię sztuki współczesne, ale do klasyki powracać zawsze trzeba...

Wieńczysław Gliński – to aktor bardzo popularny. Publiczność ogląda go zarówno na ekranach kin i tv, jak i na scenach teatralnych oraz estradach kabaretowych.

★

– Występował Pan i występuje w repertuarze bardzo różnorodnym – od Szekspira do Marceau...

– Wielu aktorów ma ambicję grania różnych ról, bez względu na ich gatunek. Ta różnorodność daje im pełną satysfakcję.

– Jest Pan amantem komediowym. Dziś tego typu aktorów jest mało; czy to już zanikający genre?

– Jest to bardzo trudny gatunek aktorstwa i dlatego mało osób nim się zajmuje, zarówno u nas, jak i w innych krajach a szkoda, bo moim zdaniem teatr powinien uczyć, bawiąc równocześnie. Moje poczucie humoru wiele mi pomogło, zarówno w życiu, jak i na scenie.

– Jedną z ostatnich Pańskich ról w Teatrze Polskim, w którym od lat jest Pan związany, jest książę Radosław w „Panu Geldbabie" Fredry. Czy ma Pan w dorobku dużo ról fredrowskich?

– Grałem w wielu komediach Fredry: „Panu Jowialskim", „Mężu i żonie", „Ślubach panieńskich", „Wielkim człowieku do małych interesów", jednoaktówkach... Zawsze chętnie wracam do tego repertuaru.

– Czy woli Pan występować w sztukach współczesnych, czy klasycznych?

– Bardzo cenię sztuki współczesne. Są potrzebne i należy je grać, ale nie można odstępować od klasyki, trzeba do niej powracać. Klasyka jest orzeźwiającą kąpielą, konieczną zarówno dla aktora, jak i dla widza. Jak należy ją wystawiać, to już sprawa reżysera. Sądzę jednak, że są klasycy, których trzeba grać „po bożemu", tak jak jest napisane w tekście, bez żadnych udziwnień i zmian.

– Jakie stawia Pan sobie zadania jako aktor?

– Poszerzanie ludziom widzenia świata, wiedzy o człowieku, o nim samym. Staramy się wzbogacić ludzi o wartości duchowe, odprężać ich, skłaniać do zastanowienia...

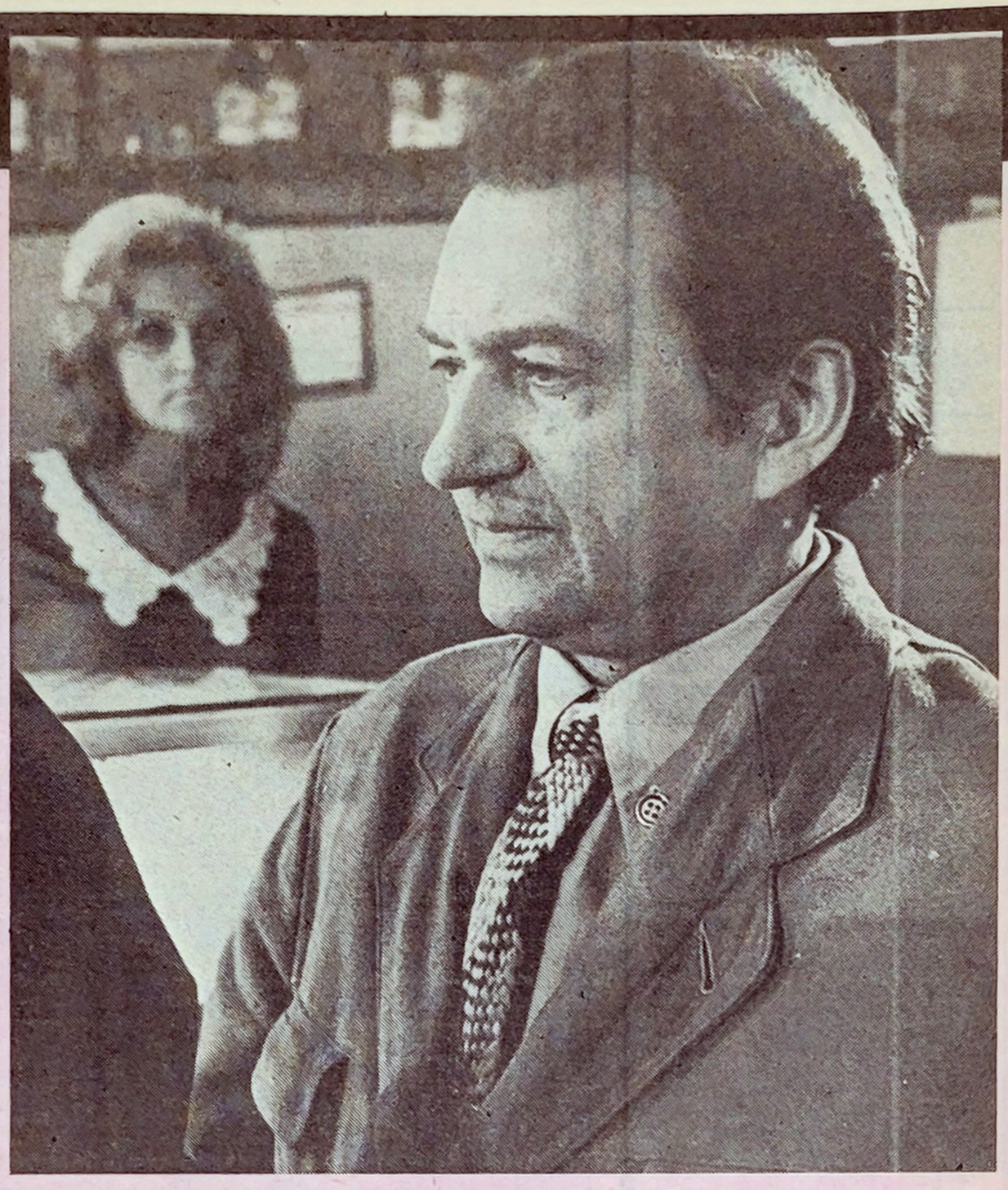

– Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zdobył Pan popularność i sympatię publiczności, dzięki takim filmom jak „Sprawa pilota Maresza", „Orzeł" i „Kanał"...

– Mam w dorobku ok. 30 filmów. Rolę „Pilota Maresza", którą powierzył mi Leonard Buczkowski, uważam za bardzo ważną w mojej karierze artystycznej. Z sentymentem wspominam też główną rolę w dramacie wojennym „Orzeł". Przyniosła mi ona Srebrny Medal na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie. Jeśli chodzi o porucznika Zadrę w „Kanale" Andrzeja Wajdy, to uważam tę postać za wzór żołnierza i patrioty. Tak sobie wyobrażałem prawdziwego dowódcę. Natomiast przeciw sobie i publiczności zagrałem rolę głównego bohatera w „Echu", reżyserii Stanisława Różewicza. Występowałem w tym filmie w roli adwokata, który dla ratowania rodziny zgadza się pracować dla wroga. Dla mnie, który przeszedłem obóz, rola ta nie była szczególnie miła...

– A jednak przyniosła Panu nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlowych Varach.

– Tak. Nagrodę za rolę kobiecą otrzymała wtedy Jeanne Moreau.

– Nad czym teraz Pan pracuje?

– Biorę udział w kilku odcinkach serialu tv „Królowa Bona" oraz w programie satyrycznym, poświęconym twórczości Stanisława Jerzego Leca. Wystąpię też w radzieckiej sztuce „Wariacje na temat" Samuela Aloszyna. W Teatrze Polskim rozpocząłem próby sztuki kanadyjskiego autora Johna Murrela pt. „Wspomnienia" o Sarze Bernhardt.

JANINA KAPUŚCIŃSKA (PAP)
Fot. **CAF**

DOM MODY świata młodych

DŁUGI SWETER CZY... MINI – SUKIENKA?

Wczesnym latem już pisałam, że pojawiają się w żurnalach mini-sukienki (nr 76 „Świata Młodych" z dnia 1 lipca br.). Oczywiście nie jest to żaden nakaz mody, ale jedna z wielu możliwości. Przy ciągle panującej długości zakrywającej kolano (wspaniała zresztą długość, najzgrabniej sylwetka w niej wygląda!) dla szczupłych właścicielek bardzo zgrabnych nóg istnieje możliwość pokazania ich w całej okazałości. Już przy tych letnich mini-sukienkach pisałam, że na dole wykańczane są one rodzajem jakby ściągacza. Znacznie wyraźniej widać to przy mini-sukienkach przeznaczonych na zimę – jest to najnormalniejszy w świecie ściągacz, identyczny jak ten, od którego zaczynamy robotę pulowera. No bo też te mini-sukienki, to nic innego jak... bardzo długi pulower. I podwójna jest też ich rola – można je nosić w charakterze sukienek właśnie, albo w charakterze takiego długiego pulowera-kasaka założonego do spodni.

I bardzo dobrze, że takie dwie możliwości istnieją. Roboty przy takiej sukience jest sporo (tyle jakby się dwa spore pulowery dziergało a nie jeden), a po zrobieniu może się przecież okazać, że właścicielka tego dzieła nie czuje się jednak zbyt dobrze w takiej sukience, która odkrywa kolana i kawałek ud. No i nie jest to wówczas robota na marne, bo nosi się to dzieło po prostu do spodni i też gra. A od czasu do czasu – można i w charakterze sukienki spróbować, może się człowiek przyzwyczai.

Oczywiście, nie namawiam do tego przyzwyczajenia zbyt gwałtownie. Na takie mini mogą sobie pozwolić jedynie osoby, które mają naprawdę zgrabne nogi. Zgrabne i szczupłe. Jeśli ktoś uważa, że ma nogi za chude, zbyt patykowane – może spróbować „pogrubić" je bardzo grubymi rajstopami (pończochami), które też mogą być zrobione na drutach. Co prawda pończochy dziergane z włóczki, to najwyższa szkoła jazdy rękodzielniczej, ale... niektóre babcie to umieją i jakby je tak poprosić bardzo, to kto wie, może się złamią i sprezentują wnuczce coś takiego. Nóg natomiast, które są za grube, niestety niczym „odszczuplić" się nie da i ja bym wtedy z mini zrezygnowała, ale taki długi pulower przecież być może. Ludzie widzą, że nosi go się do spodni i mogą sobie pomyśleć, że czasami człowiek go jako sukienkę też zakłada. Nie muszą wiedzieć, że nie, prawda?!

Mam nadzieję, że na zdjęciach widać wyraźnie, że ta mini-sukienka jest zrobiona identycznie tak jak się robi pulower właśnie. Żadnego rozszerzania ku dołowi, wręcz przeciwnie – ona się ku dołowi zwęża, ściąga ją u dołu ten ściągacz. Technologia dziergania jest całkiem taka sama jak przy pulowerze (ściągacz, po skończeniu ściągacza po parę oczek się z boków dodaje i dalej prosto do samej góry) tylko dłużej się to robi. Ale jak się ta rzecz komuś podoba, to chyba warto się poświęcić.

RIUSZKA

X WIEKÓW SANDOMIERZA

CIĄG DALSZY ZE STR. 2

sądzę, aby na dłuższą metę kultura „dojazdowa", z doskoku niejako – wyszła mieszkańcom na dobre. Przydałby się więc na pewno Dom Kultury z prawdziwego zdarzenia, gdzie znalazłyby swoje miejsce rozmaite kluby, pracownie, koła zainteresowań. Istnieje co prawda jedyna tego typu placówka w mieście, ale po drugiej stronie Wisły, przy hucie szkła „Vitrobud", i właściwie tak na dobrą sprawę służy głównie jej pracownikom. Komu bowiem zechce się wieczorem jechać kawał drogi na peryferie miasta, który z rodziców odważy się wysłać tam swoje dziecko? Możliwe, że władze, i tak już dostatecznie skołatane kłopotami konserwatorsko-budowlanymi odłożyły sprawy kultury nieco na bok, do czasu, zanim nie uporają się z rewaloryzacją. Tylko czy za te pięć lat, kiedy wszystkie zabytki Sandomierza zostaną odnowione, nie okaże się, że potrzeby duchowe odzwyczajonych mieszkańców ograniczyły się do telewizji, gazet i książek?

Przed kilkoma dniami w kamienicy przy ul. Katedralnej 5/7 otwarto „Iwaszkiewiczówkę". Pisarz był bowiem związany z tym miejscem serdecznie i od dawna. Pierwsze, kilkudniowe zaledwie eskapady, zapoczątkowane w latach dwudziestych, przerodziły się w dłuższe, regularne wizyty.

(...) *„Najmilsze moje tygodnie sandomierskie przypadały na lata tuż przed wojną. W roku 1936, 37, 38, nawet 39, spędziłem tu parę tygodni. I z pisaniem szło mi tu nieźle. W moim mieszkaniu sandomierskim (wynajmowanym na ul. Katedralnej 5 – przyp. aut.) napisałem „Lato w Nohant", „Młyn nad Utratą", „Zygryda", „Różę", gdzie nawet topograficznie sięgnąłem po pejzaż Nadbrzeża, wiele wierszy. Pisałem zresztą i po wojnie, kiedy już nie miałem tutaj swego mieszkania".* (J. Iwaszkiewicz – „Podróże do Polski").

Dla utrwalenia przeszło półwiecznych związków pisarza z miastem postanowiono Mały Rynek nazwać Placem Iwaszkiewicza, zaś w jednej z kamienic urządzić Muzeum Literatury, poświęcone zmarłemu przed kilkoma miesiącami pisarzowi.

Urządzenie wnętrz meblami i pamiątkami przywiezionymi ze Stawiska nie przysparza większych kłopotów, nieco gorzej rzecz się ma z otoczeniem. Plac, choć niewielki, jest dość pustawy, kamienny i obmurowany. Powstała więc propozycja, aby go naturalnie ożywić kwiatami, warzywami, owocami – słowem tym, czym ziemia sandomierska słynęła przed wiekami. Pomysł znakomity! Tyle że przeciwnicy tej koncepcji zgorszeni perspektywą bliskiego sąsiedztwa literatury i pietruszki, targowiska i muzealnych wnętrz, postawili twarde veto. Która wizja zwycięży – okaże się już w najbliższym czasie.

TERESA MACISZEWSKA

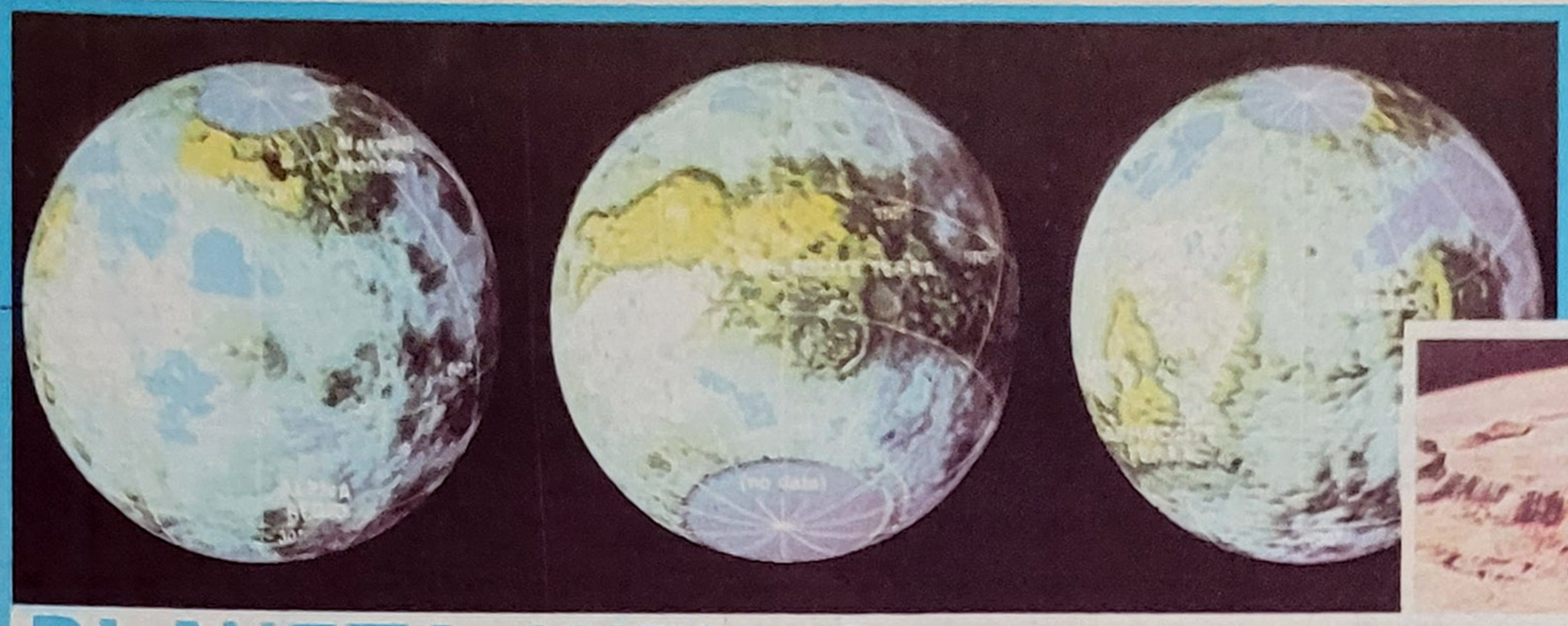

Rekonstrukcja elektroniczna fragmentu powierzchni Wenus z widocznymi na pierwszym planie górami Ziemi Isztar. Na „globusach" Wenus (zdjęcia obok), możecie odnaleźć Górę Maxwella oraz Ziemię Afrodyty.

Fot. „Sky and Telescope"

PLANETA WENUS inna niż przypuszczano

Naukowcy zdobyli wreszcie wiarygodne informacje o powierzchni planety Wenus. Stały się one prawdziwym zaskoczeniem. Najbliższa Ziemi planeta ma szczyty wyższe niż Mount Everest, doliny głębsze niż Morze Martwe i płaskowyże większe niż w Australii. Wenus okazała się całkowicie inna niż wyobrażali sobie ją naukowcy. Stwarza to konieczność zrewidowania dotychczasowych teorii o powstawaniu planet.

Nowa mapa planety Wenus, opublikowana ostatnio, została opracowana na podstawie danych i informacji zebranych przez urządzenia radarowe, które w ostatnich 18 miesiącach dokonywały pomiarów z pokładu automatycznej sondy orbitalnej Pioneer-Venus. Wenus – jest jak gdyby podobna do Ziemi z wysuszonymi morzami i oceanami. Jednakże znajdują się na niej znacznie ostrzejsze kontrasty: szczyty przekraczające wysokość 11 tys. m, doliny o głębokości ok. 3 tys. m; 60 proc. powierzchni planety Wenus stanowią równiny o łagodnych spadkach.

SKORUPA

Planeta Wenus ma dwa masywy, które porównać można do ziemskich płaskowyżów. Większy z nich, nazwany imieniem greckiej bogini miłości i piękna Ziemią Afrodyty, rozciąga się na przestrzeni 4.500 km wokół równika Wenus. Geologowie przypuszczają, że pionowe ściany otaczające głębokie doliny tego masywu zostały sformowane wskutek ścierania się dwóch części skorupy Wenus, a następnie ich oddzielenia się. Drugi masyw wenusjański, nazwany imieniem babilońskiej bogini wojny i miłości – Ziemią Isztar, składa się z łańcuchów górskich i najwyższego szczytu wenusjańskiego: Maxwell Montes.

Najbardziej zagadkowym fragmentem planety Wenus jest jej skorupa. W przeciwieństwie do skorupy ziemskiej, rozczłonkowanej na sześć wielkich „kawałków", skorupa Wenus jest jednym grubym „kawałkiem". Naukowcy uważają, iż dzięki temu na Wenus rejestruje się mniej erupcji wulkanicznych niż na Ziemi.

LAWA

Największą aktywność wulkaniczną na Wenus rejestruje się obecnie w dwóch wulkanach. Wznoszą się one na wysokość ok. 4 tys. m i otoczone są skałami, które wyglądają na zastygłą lawę. Gdyby rejony te były nadal aktywne wulkanicznie, to obalałoby to hipotezę zakładającą, że wielkie planety są aktywne, a małe takie jak np. Wenus, są raczej spokojne. Nie byłaby to pierwsza niespodzianka przygotowana przez informacje zebrane za pomocą pomiarów radarowych sondy automatycznej Pioneer. W 1978 r. naukowcy odkryli zawartość argonu w atmosferze Wenus. Wcześniej – uważano, że planety położone bliżej Słońca – takie jak Wenus nie powinny mieć wielkich ilości tego gazu.

Sonda Pioneer będzie kontynuowała badania w ciągu 3 najbliższych lat.

Przyszłe wenusjańskie misje kosmiczne

Badania Wenus przy użyciu środków astronautycznych prowadzone są już prawie od 20 lat. Wyjątkowe jednak środowisko tej planety, występowanie grubej, a od spodu gorącej powłoki atmosferycznej, bardzo wysokie ciśnienie, a także istnienie bardzo rozległej nieprzenikliwej dla wzroku ludzkiego powłoki chmur złożonych z kropelek stężonego kwasu siarkowego, powoduje iż badania powierzchni za pomocą lądowników są nader utrudnione. Metody teledetekcyjne stosowane przy badaniach Księżyca, Marsa czy też Ziemi są w tym przypadku zupełnie bezowocne i ograniczają się jedynie do badania zewnętrznej strefy płaszcza atmosferycznego Wenus. Jedyną metodą, za pomocą której można otrzymać obrazy powierzchni planety z orbit okołoplanetarnych, jest metoda radiolokacyjna. W Laboratorium Napędów Odrzutowych w Pasadenie (Kalifornia), opracowany został specjalny model próbnika, który zostanie wyposażony w odpowiednią aparaturę radiolokacyjną, za pomocą której będzie można otrzymać obrazy całej powierzchni globu Wenus.

Próbnik ten będzie nosić skrótową nazwę VOIR, czyli Venus Orbital Imaging Radar (radiolokator obrazowy na orbicie okołowenusjańskiej). Obiekt ten zostanie wyposażony w aparaturę radiolokacyjną najwyższej klasy. Będzie ją cechowała bardzo duża zdolność rozdzielcza, przez co obiekt ten jest w stanie rozróżnić przedmioty na powierzchni planety o wielkości 800 metrów, a w niektórych przypadkach o rozmiarach 50 metrów. Kadłub VOIR będzie stanowił nieregularny prostopadłościan. U dołu próbnika zostanie podwieszona duża, prostokątna antena radiolokacyjna, która będzie wysyłać, a odbite fale odbierać i rejestrować, po czym przesyłać na Ziemię za pomocą dużej skierowanej w kierunku Ziemi anteny parabolicznej umieszczonej po przeciwnej stronie anteny radiolokacyjnej.

Sonda po starcie z Ziemi i kilkumiesięcznej podróży kosmicznej wejdzie na orbitę wokółwenusjańską, stanie się sztucznym satelitą Wenus. Orbita w jakiej VOIR będzie obiegać Wenus umożliwi zebranie i opracowanie radiolokacyjnych zdjęć powierzchni globu wenusjańskiego. Otrzymane w ten sposób radiolokacyjnę mapy powierzchni planety posłużą dwum celom. Umożliwią szczegółowe rozpoznanie ukształtowania poziomego i pionowego planety, dostarczą materiałów porównawczych umożliwiając rozpoznanie wzajemnych podobieństw i różnic, a także cyklów rozwojowych planet typu Ziemi. Mapy te wpłyną również na wybór miejsc lądowania przyszłych lądowników wenusjańskich.

Tymczasem naukowcy francuscy i radzieccy przygotowują się do wspólnego eksperymentu kosmicznego, który ma na celu dokładne poznanie składu, rozmieszczenia i warunków cieplnociśnieniowych panujących w atmosferze Wenus. W tym celu przygotowuje się we Francji specjalne balony (zdjęcie zamieściliśmy niedawno), odpowiednio odporne na działanie atmosfery wenusjańskiej. Balony te będą miały na celu unoszenie w atmosferze aparaturę badawczą, która w tym czasie będzie wykonywała powierzone jej zadania. Balony wraz z podwieszoną aparaturą badawczą zostaną wysłane przy użyciu radzieckich próbników. Realizację obu misji wenusjańskich planuje się na wczesne lata osiemdziesiąte.

Krzysztof Robak
ul. Okrzei 2a/2, 41-803 Zabrze

TOMIK

Dziś prawie cały TOMIK poświęcony jest bliźniaczej Ziemi planecie Wenus. Mimo otulającej ją grubej warstwy atmosfery astronomowie zdołali dowiedzieć się coś niecoś o wyglądzie jej powierzchni i warunkach tam panujących. Ale to dopiero początek, w latach następnych prowadzone będą kolejne badania, za pomocą jeszcze doskonalszych urządzeń radiolokacyjnych, o czym pisze Krzysztof Robak.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Cywilizacjami pozaziemskimi, fantastyką oraz UFO interesują się: **Hanna Wierzbicka** (15 l.), ul. Starzyńskiego 4B/16, 06-130 Nasielsk; Filmami s-f: **Aleksandra Jarząbek**, ul. Drewnowska 52/26, 91-002 Łódź. Układem planetarnym i UFO: **Jakub Sagan** (13 l.), Al. 1000-lecia 17, 23-200 Kraśnik; **Mirosław Mazur** (16 l.), 58-515 Korpniki 52. Astronomią i astronautyką: **Witold Dziewiński** (15 l.), ul. Główna 82, 95-020 Justynów (Andrespol). Budową statków kosmicznych, UFO: **Jarosław Trepanowski** (13 l.), Plac Kapitana Roginisa 24A/24, 18-430 Wizna; **Urszula Gawłowska**, ul. Ziemna 3, 42-400 Zawiercie; **Agnieszka Rostek**, ul. Boh. Getta Warszawskiego 5a/4, 44-100 Gliwice 2.

Uwaga: Zgłaszając swoje nazwisko do kącika korespondentów nie zapomnij podać krótko sprecyzowanych zainteresowań: dokładnego adresu oraz koniecznie swego wieku lub klasy, do której uczęszczasz.

---

po kolei sprowadzać moich więźniów, chcąc koniecznie coś od nich wydobyć, ale daremnie. Zgrzytali zębami i milczeli.

Około południa nadeszła wiadomość o zaginionym chłopcu. Widziano go na gościńcu, na zachód, około szóstej rano, w oddaleniu około ośmiu mil.

Kazałem go ścigać porucznikowi konnicy, a równocześnie i innej osobie, Zobaczyli go w oddaleniu dwudziestu mil. Przelazł przez płot i poszedł następnie przez bagniste pole, dążąc do wielkiego, starego domu, na końcu wsi. Objechali dom i stanęli z przeciwnej strony. Tam zsiedli z koni i weszli do kuchni. Nie było nikogo. Poszli do drugiej izby, pustka. Drzwi jednak do następnego pokoju były otwarte. Chcieli właśnie wejść, gdy usłyszeli cichy głos: ktoś modlił się. Wstrzymali się więc, ale porusznik wsunął głowę i zobaczył starego mężczyznę i starą kobietę modlących się w kącie izby. Starzec właśnie skończył modlitwę, gdy przednie drzwi się otworzyły i wszedł do izby Wicklow. Staruszkowie wybiegli naprzeciw niego objęli go za szyję i całowali.

– Nasz chłopiec! Nasz kochanek! Chwała Bogu; zgubiony znalazł się, zmarły zmartychwstał!

– No i co pan myśli o tem wszyskiem! – Ten smarkacz urodził się tu i wychował, a przez całe życie nie wydalił się stąd i o pięć mil. Dopiero przed 14 dniami przybył do mej kwatery, aby mię oplątać swoją siecią intryg i oszustw. To była istotna prawda! Starzec, uczony ksiądz, który porzucił swój urząd, był jego ojcem, a stara pani jego matką.

A teraz w kilku słowach objaśnię powody postępowania chłopca: był gorącym czytelnikiem romansów kryminalnych, marzeniem jego było bohaterstwo, pełne tajemnic i przygód. Nadto czytał w gazetach o szpiegach wśród naszych szeregów i to skierowało jego rozognioną fantazję w tym kierunku. Jeden z jego kolegów służył przez kilka miesięcy jako płatniczy na statku krążącym po Missisipi i od niego to nauczył się nazw różnych miejscowości, okrętów itd. oraz różnych szczegółów. Ja zaś byłem na krótki czas przed wojną w tych miejscowościach i dałem mu się wywieść w pole. Chce pan wiedzieć, dlaczego on wolał raczej umrzeć aniżeli to lub owo wyznać? Po prostu dlatego, że nie miał nic do powiedzenia i wyznania. Wszystko istniało tylko w jego fantazji; przynaglony do wyznań, nie umiał dać żadnych wyjaśnień. I tak np. nie mógł zeznać, co napisano „sympatycznym" atramentem, bo tam w ogóle nie było nic napisane, był to czysty papier. Nie wkładał nic do armaty, ani nie miał podobnych zamiarów, bo listy jego były przeznaczone tylko dla osób wyimaginowanych, zmyślonych; gdy zanosił list do stajni, to zabierał równocześnie złożony tamże porzedniego dnia. Sznura z węzłami nie znał i nie widział aż do chwili, w której mu go pokazałem. Wynalazł także pana „Gaylorda", którego naturalnie przy Bodenstreet 15 nie można było znaleźć, bo dom pod tymże numerem zburzono przed trzema miesiącami. Jego wynalazkiem był pułkownik, historia i losy tych biedaków, których kazałem poaresztować i których z nim konfrontowałem; on zmyślił B.B i Nr 166 – to znaczy nie wiedział nawet, że taki numer w hotelu Adler istnieje. Słowem gotów był wszystko zmyśleć na żądanie kogokolwiek. Gdy go pytałem o szpiegów w mieście, opisywał mi osoby, które widział w tym właśnie hotelu, a których nazwiska przypadkiem słyszał. Żył w tajemniczym romantycznym świecie przez tych kilka dni i uważał to wszystko za rzeczywistość, która go niepomiernie cieszyła.

Nam zaś narobił kłopotów bez liku. Jak pan wie, na jego polecenie zaaresztowaliśmy około dwudziestu osób i zamknęliśmy je pod strażą we forcie. Część ich to żołnierze i przed tymi nie potrzebowałem się usprawiedliwiać. Ale ci inni byli to obywatele z najlepszego towarzystwa z różnych okolic kraju i żadne usprawiedliwienie się i przeprosiny nie mogły ich udobruchać. Krzyczeli i narzekali – nie było końca temu wszystkiemu. A te dwie panie!

Jedna była żoną deputowanego z Ohio, a druga siostrą biskupa gdzieś z Zachodu. Ach, te gniewy, łzy i złorzeczenia ich zostaną mi na długo w pamięci! Stary pan był prezydentem kolegium z Filadelfii, a przybył na pogrzeb siostrzenicy. Naturalnie Wicklowa nigdy w życiu nie widział.

Ale nie dość, że nie mógł być na pogrzebie, i że go kazałem arsztować jako szpiega powstańców, musiał jeszcze stanąć do konfrontacji z Wicklowem, który go opisał jako fałszerza weksli, handlarza niewolnikami, koniokrada i podpalacza z Galweston. Tego wszystkiego nie mógł ten poczciwy staruszek zapomnieć i darować.

A departament wojskowy...
Na tę część historii spuśćmy lepiej zasłonę.

KONIEC

KAJKO KOKOSZ i Miluś

Z. Christa

37

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

6160/G 0-67

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- „Niedostępni" – opowiadanie Claudii Torres-Saenz, nagrodzone w konkursie literackim „Świata Młodych" Srebrną Ostrogą.
- „Sam tam byłem, sam widziałem", czyli wrażenia naszego redakcyjnego kolegi z pobytu w Czechosłowacji.
- W „Redakcyjnej Poczcie" – jak zwykle Wasze listy, Wasze problemy...

MARK TWAIN

CIEKAWE ZDARZENIE 6

Tłum. Kazimierz Piotrowski

Postanowiłem w odpowiedniej porze odszukać nr 166, ująć B.B, zakneblować mu usta i wziąć się do innych, gdy będą nadchodzili. Było kwadrans na pierwszą po północy, gdym wyszedł z fortu, mając ze sobą sześciu ludzi, a przy ty boku Wicklowa, ze związanymi w tył rękoma. Objaśniłem go, że idziemy teraz do nr 166, a gdyby się okazało, że nas oszukał i okłamał, potrafię sobie z nim już poradzić, by go zmusić do wskazania prawdziwej drogi.

Zbliżyliśmy się cicho i niepostrzeżenie do szynkowni. W izbie gorzało światło, zresztą cały dom tonął w ciemnościach. Próbowałem otworzyć bramę, zamek puścił, weszliśmy po cichu, zamykając bramę za sobą. Potem ściągnęliśmy buty, a ja wszedłem do izby. Gospodarz, Niemiec, siedział, śpiąc na stołku. Zbudziłem go ostrożnie, poleciłem zdjąć buty i iść za nami, ostrzegając go, by ani słowa nie pisnął. Nie sprzeciwiał się nic, był posłuszny, ale jakoś wszystko nieprzyjemnie go zaskoczyło. Kazałem mu prowadzić nas do nr 166. Cicho, jak koty przeszliśmy dwie czy trzy kondygnacje schodów. Po przejściu przez długi korytarz doszliśmy do drzwi oszklonych; przez szyby migotał blask światełka.

Gospodarz szepnął mi, że tu jest nr 166. Spróbowałem drzwi, były zamknięte. Dałem po cichu jednemu z ludzi odpowiedni rozkaz, a za chwilę drzwi były otwarte. Weszliśmy. Zobaczyłem pół postaci ludzkiej, która przy naszem wejściu zdmuchnęła lampę. Byliśmy znowu w ciemności. Jeden skok, a byłem już na łóżku, gniotąc leżącego kolanami. Moja ofiara próbowała się bronić, chwyciłem ją jednak lewą ręką za gardło, a to pomogło mi do obezwładnienia. Potem wyjąłem rewolwer i przyłożyłem zimną lufę do twarzy schwytanego.

– Prędko światła! – zawołałem – Mam go!

Stało się. Zapalono zapałkę, a przy jej świetle przypatrzyłem się mej ofierze. Na Boga! Była to młoda dziewczyna.

Puściłem ją i zeskoczyłem z łóżka; było mi trochę głupio.

Niespodzianka przyszła tak prędko, że nikt nie mógł i słowa przemówić. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, zakrywając twarz koszulą. Gospodarz zapytał łagodnie:

– Zapewne moja córka zrobiła coś niewłaściwego?

– Pańska córka? Czy to jest pańska córka?

– Tak. Przybyła dziś nocą z Cincinnatti, jakaś niezdrowa.

– A więc chłopak oszukał nas znowu. To nie jest prawdziwy 166 i tu nie ma B.B. A więc Wicklow, wskażesz nam prawdziwy Numer 166, albo...

Gdzież chłopak się podział?

Uciekł, a co gorsza, bez niego nie mogliśmy robić dalszych poszukiwań. Klątem własną głupotę, że nie kazałem go wziąć w opiekę. Ale na to nie było czasu. Trzeba było coś dalej robić. Co? Otóż to sęk.

Ostatecznie i dziewczyna mogła być owem B.B. Nie wierzyłem sam w to, ale przesłuchanie jej nic nie szkodziło. Kazałem więc ludziom pójść do przeciwległego pokoju, polecając każdego aresztować, kto się tylko zbliży do pokoju panny, trzymać gospodarza pod strażą, aż do nowych moich rozkazów. Potem pobiegłem do fortu, aby się przekonać czy wszstko w porządku.

Wszystko znalazłem w porządku. Czuwałem całą noc, aby się o tem jeszcze raz przekonać. Nie zdarzyło się nic.

Wesołość moja nie miała granic, gdy zaczęło dnieć, a ja mogłem do departamentu wojskowego zatelefonować, że gwiaździsty sztandar powiewa jeszcze ciągle nad fortem Trumbull.

Ogromny ciężar spadł mi z piersi. Mimo wszystko nakazałem i dalej czuwać, sprawa przedstawiła się bowiem dość poważnie. Kazałem potem

Dokończenie na str. 7